



W oborze

ol., pł., 28,7×40 cm [1874]

Obraz malowany w Zarzeczcu, подарowany przez artystę miejscowemu księdzu proboszczowi, gdzie pozostawał na plebani do I wojny światowej.

W latach 1919–1961 właścicielem obrazu był prof. dr Adam Wrzosek z Poznania, który podarował go kard. Stefanowi Wyszyńskiemu. Po jego śmierci w 1981 roku właścicielem obrazu był kard. Józef Glemp.



nr 2 (73)

GŁOS BRATA ALBERTA



ISSN 2084-4360

lato 2013



W numerze m.in.:

ks. Grzegorz Ryś

„Ecce Homo” okiem amatora sztuki – s. 20

ks. Cz. Lewandowski CM

Adam Chmielowski w Powstaniu 1963 (cz. 2) – s. 52

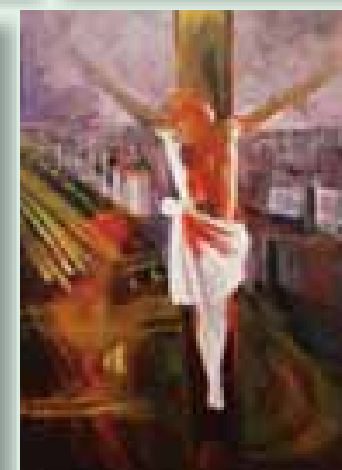
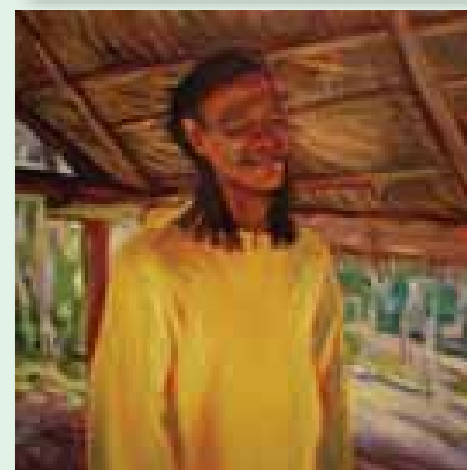
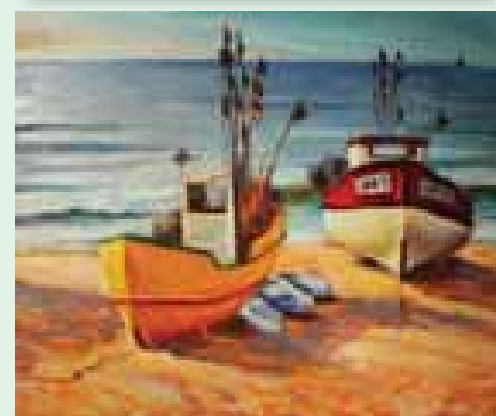
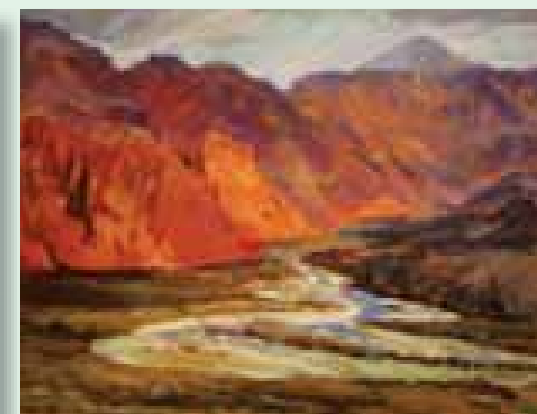
„Ecce Homo” mal. Adam Chmielowski – św. Brat Albert



„Ecce Homo” (św. Brata Alberta)
Mąż Bolesci – *Vir Dolorum*



Chrystus w mandorli
Chrystus w studni



S. Lidia
„...z podróży
argentyńskich”
(s. 9)

Franciszek i Franciszek 4

CO SIĘ STAŁO...

...u sióstr 6

...u braci 10

...w Towarzystwie Pomocy
im. św. Brata Alberta 13

MISJE

Historia Ziny, „baletek”
i rozlanej łaski 15

WSPOMNIENIA

Śp. ks. Józef Piszczyk 18

O obrazie „Ecce Homo” okiem
amatora sztuki 20

OKIEM I SERCEM 31

NASZA BŁOGOSŁAWIONA

Promienna dobrocią... 33

POLEMIKA 36

Pomoc siostry zakonnej
w zakładzie karnym 39

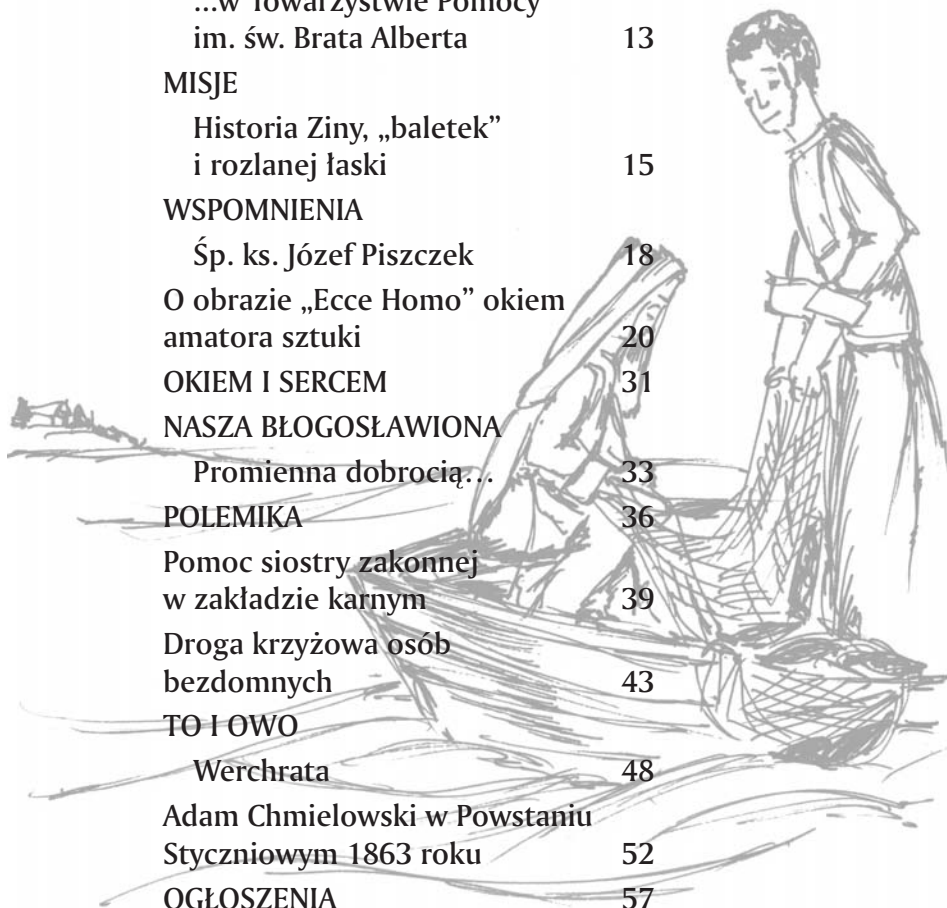
Droga krzyżowa osób
bezdomych 43

TO I OWO

Werchrata 48

Adam Chmielowski w Powstaniu
Styczniowym 1863 roku 52

OGŁOSZENIA 57



Głos Brata Alberta

Kwartalnik

adresowany do czcicieli św. Brata Alberta i wszystkich, którzy czerpią z jego ducha

Wydawca: Zgromadzenie Sióstr Albertynek; współpraca: Zgromadzenie Braci Albertynów, Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta. **Redakcja:** albertynka s. Agnieszka Koteja. **Współpraca:** albertyni: br. Rafał Siwiec i br. Paweł Flis, TPBA: Małgorzata Sieńczuk. **Adres:** Woronicza 10, 31-409 Kraków. **E-mail:** glosbrata@wp.pl

św. Nasz Ojciec Franciszek

Bracia, spoglądajmy na dobrego Pasterza, który dla zbawienia swych owiec wycierpiał mękę krzyżową. Owce Pana poszły za Nim w ucisku i prześladowaniu, w upokorzeniu i głodzie, w chorobie i doświadczeniu, i we wszystkich innych trudnościach; i w zamian za to otrzymały od Pana życie wieczne. Stąd wstyd dla nas, sług Bożych, że święci dokonowali wielkich dzieł, a my chcemy otrzymać chwałę i cześć, opowiadając o nich. (z *Napomnienia* 6)

Ten sługa wie, że życie prawe, wolne od przywiązań, który się nie denerwuje i nie gniewa na nikogo. (N 11)

Nie może poznać sługa Boży, ile ma cierpliwości i pokory, dopóki się wszystko dzieje po jego myśli. Gdy zaś przyjdzie czas, kiedy ci, którzy powinni postępować według jego woli, zaczną mu się sprzeciwiać, ile wtedy okaże cierpliwości i pokory, tyle jej ma, nie więcej. (N 13)

Ci przynoszą naprawę pokój, którzy wśród wszystkich cierpień, jakie ich spotykają na tym świecie, dla miłości Pana naszego Jezusa Chrystusa zachowują pokój duszy i ciała. (N 15)

Błogosławiony jest ten sługa (Mt 24, 46), który nie wynosi się z powodu dobra, jakie Pan mówi i czyni przez niego, bardziej niż z tego, jakie Pan



mówi i czyni przez innego. Grzeszy ten człowiek, który chce więcej otrzymać od swego bliźniego niż dać z siebie Panu Bogu. (N 17)

Błogosławiony człowiek, który znosi swego bliźniego z jego ułomnościami, tak jak chciałby, aby jego znoszono, gdyby był w podobnym położeniu. (N 18)

Błogosławiony sługa, który nie uważa się za lepszego, gdy go ludzie chwala i wywyższają, niż wówczas, gdy go uważają za słabego, prostego i godnego pogardy; ponieważ człowiek jest tym tylko, czym jest w oczach Boga i niczym więcej. (N 19)

Błogosławiony sługa, który okazuje się równie pokorny wśród swych podwładnych, jak wśród swych panów. (N 23)

Gdzie jest miłosierdzie i delikatność, tam nie ma ani zbytku, ani zatwardziałości serca. (N 27)

nasz Ojciec Święty Franciszek

Kiedy idziemy bez krzyża, gdy budujemy bez krzyża i kiedy wyznajemy Chrystusa bez krzyża, nie jesteśmy uczniami Pana: jesteśmy ludźmi doczesnymi, jesteśmy biskupami, kapłanami, kardynałami, papieżami, ale nie uczniami Pana. (14.03.2013)

Prawdziwą władzą jest służba, także papież – by wypełniać władzę – musi otwierać ramiona, aby strzec całego Ludu Bożego i przyjąć z miłością i czułością całą ludzkość, zwłaszcza najuboższych, najsłabszych, najmniejszych. (19.03.2013)

Niekiedy wyjście na ulicę może narażać na wypadek, jednak wolę znacznie bardziej Kościół po wypadku niż chory. (do biskupów Argentyny)

Jeśli się nie unizysz, nie jesteś chrześcijaninem. (8.04.2013)

Musimy być gotowi do dawania świadectwa o Chrystusie poprzez dar z siebie, bez zastrzeżeń, bez wyrachowania, czasem nawet za cenę własnego życia. (14.04.2013)

Pokora i łagodność są jakby ramami życia chrześcijańskiego. Chrześcijanin zawsze idzie tą drogą, w pokorze i łagodności. (29.04.2013)

Letni chrześcijanie, bez odwagi... Czyni to tak wiele zła Kościołowi! Ponieważ letniość wchodzi między nas, rozpoczynają się problemy między nami, nie mamy perspektyw, nie mamy odwagi. (...) Kościół musi być



odważny! Wszyscy musimy być odważni w modlitwie, wzywając Jezusa. (03.05.2013)

Nigdy nie ulegajmy pesymizmowi i temu zgorzknieniu, jakie każdego dnia proponuje nam diabeł. (do kardynałów)

Bądźmy zawsze ludźmi łagodnymi i pokornymi, by przezwyciężyć ułudy i nienawiść świata. (4.05.2013)

Kiedy szedłem spowiadać w poprzedniej diecezji, niektórzy przychodzili i zawsze pytałem: „Czy dajesz jałmużnę?” – „Tak, ojcze!”. „O to dobrze”. Ale stawiałem jeszcze dwa inne pytania: „Ale powiedz, czy kiedy dajesz jałmużnę spoglądasz w oczy temu lub tej, która ją otrzymuje?” – „Ach, nie wiem, nie zdałem sobie sprawy”. I kolejne pytanie: „A kiedy dajesz jałmużnę, czy dotykasz rękę tego, któremu ją dajesz, czy też rzucasz monetę z góry?”. To właśnie jest problem: ciało Chrystusa, dotknąć ciała Chrystusa, wziąć na siebie ten ból za ubogich. (18.05.2013)

...u sióstr?

Nowa placówka w Villa Dolores w Argentynie

Dom został erygowany 11 grudnia 2012 r. Siostry podjęły posługę w Villa Dolores od 01.09.2012 r. na prośbę biskupa Santiago Olivera – Ordynariusza Diecezji Cruz del Eje w Prowincji Cordoba. Siostry podjęły katechezę i duchową opiekę ludności zamieszkującej dzielnicę boliwijską, prowadzenie noclegowni Caritas i troskę o biednych w parafii. Obecnie w domu posługują trzy siostry z Wiceprowincji Ameryki Południowej (dwie Polki i jedna Boliwijka). Budynek stanowi własność Diecezji Cruz del Eje, przez którą dom jest zarządzany i nadzorowany. Siostry otrzymują środki na utrzymanie i prowadzenie dzieła od biskupa Santiago Olivera.

Ponowienie profesji czasowej

14 stycznia podczas uroczystej Eucharystii s. Lidia, s. Lourdes, s. Rosario, s. Miriam, s. Clara i s. Angeles na ręce Siostry Starszej Krzysztofy ponowiły śluby zakonne na kolejny rok. Ta doniosła uroczystość odbyła się w kaplicy domu formacyjnego w Cochabamba.



Profesja wieczysta siostry Sary

Dnia 15 stycznia 2013 r., po dziesięcioletniej formacji, s. Sara Flores złożyła wieczystą profesję zakonną. Przed Mszą św. w kościele seminaryjnym w Cochabamba rodzice siostry

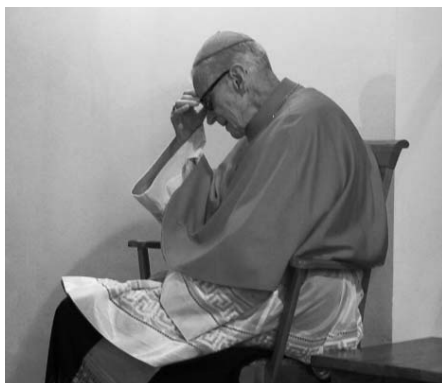
Sary oraz Siostra Starsza Krzysztofa Babraj i s. prow. Katarzyna Krzystoń udzielili s. Sarze błogosławieństwa. Podczas śpiewu Litanii do wszystkich świętych s. Sara leżała krzyżem. Po złożeniu profesji przez s. Sarę bp Jorge Herbas Balderrama odmówił uroczystą modlitwę konsekracyjną.



Peregrynacja obrazu Pana Jezusa Miłosiernego i relikwii Apostołów Miłosierdzia

W dniach 6 i 7 marca 2013 r. w Domu Generalnym w Krakowie przy ul. Woronicza 10 odbyło się nawiedzenie Obrazu Jezusa Miłosiernego oraz Relikwii Apostołów Miłosierdzia: św. s. Faustyny Kowalskiej i bł. Jana Pawła II. Licznie zgromadzeni kapłani, siostry oraz wierni zebraли się przed Sanktuarium św. Brata Alberta, aby powitać Obraz i Relikwie. Relikwie św. s. Faustyny i bł. Jana Pawła II wniesione zostały do sanktuarium przez siostry juniorystki i siostry postulantki. Siostra Starsza Krzysztofa Babraj w imieniu całego Zgromadzenia powitała Obraz Jezusa Miłosiernego. O godz. 18.00 została

odprawiona uroczysta Msza Święta pod przewodnictwem bp. Damiana Muskusa. Mszę św. koncelebrowali kapłani z dekanatu prądnickiego z ks. dziekanem Dionizym Jedynakiem na czele. W uroczystościach powitania wziął również udział J. Em. Ks. Kardynał Franciszek Macharski. Przed godziną 21.00 siostry odmówiły





wspólnie Kompletę oraz zaśpiewały Apel Jasnogórski, po którym rozpoczęło się nocne czuwanie.

Następnego dnia na czuwanie przybyli chorzy oraz ubodzy.

O godz. 15.30 J. Em. Ks. Kardynał Franciszek Macharski odprawił Eucharystię, homilię wygłosił ks. dziekan Dionizy Jedynak. O godz. 17.30 nastąpiło pożegnanie Obrazu i Relikwii.

Wystawa obrazów

8 kwietnia br. w Domu Głównym Zgromadzenia o godz. 15.30 odbył się wernisaż malarstwa siostry Lidii Pawełczak pt. „Malarskie zapiski z podróży argentyńskich”. Wystawa obejmuje 8 płócien wykonanych w technice olejnej i akrylowej, głównie pejzaże górskie pre-Andów, a także motywy przeżyte w Misiones.



...u braci?

Rok posługi we Lwowie

Bracia albertyni po ponad 60. letniej przerwie, już od roku posługują we Lwowie. Wydawało się, że wkrótce będzie można otworzyć placówkę we współpracy z Urzędem Miasta. Deklaracje władz miasta były obiecujące, jednak nie zaowocowały one żadną konkretną propozycją. Jednak dotychczasowy okres nie był moim zdaniem stracony. Posługa, którą bracia (obecnie jeden brat) pełnią jest i potrzebna i albertyńska. Polega ona na pomocy ludziom starszym, ubogim, niepełnosprawnym, chorym a także uzależnionym przebywającym we własnych mieszkaniach. Najważniejszy w tym wszystkim jest człowiek potrzebujący. A niejednokrotnie są to

ludzie wspaniali. Chciałbym przytoczyć tylko parę przykładów.

Pani Maria ma 91 lat i opiekuje się córką Zofią, która ma 60 lat. Zosia jest od dzieciństwa o niewładnych nogach i częściowo tylko sprawnej jednej ręce. Pani Maria wiele czynności, na które jej siły i zdrowie pozwalają wykonuje sama – gotowanie, przebieganie chorej, domowe porządki... Wielu czynności nie jest sama w stanie zrobić, pomagają inni: rodzina, siostry i bracia zakonnicy, wolontariusze. Za każdym razem, gdy odwiedzamy panią Marię i jej córkę Zofię wchodzimy w niezwykle świat prostej i mocnej wiary, szczerą wdzięczności i autentycznej pokory. Pani Maria ze łzami wzruszenia często powtarza słowa Chrystusa o domu Ojca, w którym jest mieszkań wiele, o miejscu w niebie, które On sam przygotował dla każdego, kto przyjmuje dar Jego odkupienia. Pyta



jakby niepewnie w poczuciu niegodności, czy także nas – mnie i Zosi to dotyczy? Łzy za każdym razem wyrażają jej wdzięczność. Całe życie ciężka praca i zawodowa i domowa, aby utrzymać rodzinę.

Zosia mężnie znosi stan unieruchomienia i uzależnienia od innych osób. Powtarza stale, że Pan Jezus więcej cierpiał i się nie skarżył. Jest całkowicie pogodzona ze swoją sytuacją i przyjmuje ją jako Bożą wolę, która jest wyrazem Bożej miłości. Będąc małym dzieckiem, zadawała mamie pytanie: dlaczego inne dzieci chodzą a ja nie? Potem, mówi, zrozumiałam, że jest w tym jakiś zamysł Boży, że być może tak jest dla mnie lepiej, choć tego do końca nie rozumiem.

Gdy matka się zestarzała, nie była już w stanie wyjeżdżać z Zosią na wózku inwalidzkim na zewnątrz. Od tego czasu przez dziesiątki lat Zosia prawie cały czas spędza w czterech ścianach. Prawie cały czas, z dwoma wyjątkami, gdy s. Grażyna zabiera obie panie do Sióstr na opłatek oraz w okresie letnim na kilku-, kilkunastodniowy pobyt w Domu Pielgrzymów w okolicy Lwowa. Od niedawna są też regularne spacerunki z albertynami i wolontariuszami, którzy mogą dźwignąć Zosię, posadzić na wózek, sprowadzić wózek po schodach, a po przejażdżce powrócić do mieszkania. Mimo tak monotonnego, pozbawionego atrakcji życia Zosia uważa, że

jest ono zawsze interesujące. Powiedziała kiedyś, że nie rozumie ludzi, którzy twierdzą, że życie jest nudne, ona tak nie uważa, i choć istnieje cierpienie i ból, to w życiu w bliskości Boga jest wystarczająco dużo piękna i dobra, by warto było żyć.

Zosia pewnego dnia podczas przejażdżki powiedziała, że życie bez Boga jest tylko jak jakaś zabawa, czyli nie jest głębokie, prawdziwe, jest wyłącznie pogonią za przyjemnością.

Pewnego razu, kiedy zbliżaliśmy się do figurki Matki Bożej, gdzie zawsze przystajemy na modlitwę, Pani Zosia zaczęła dzielić się swoimi przemyśleniami i powiedziała, że kochać trzeba wszystkich ludzi. Wprawdzie nie wszystkich tak samo – według jej określenia: należy kochać po różnemu, jednych więcej drugich mniej, ale kochać wszystkich. Nie patrzeć na to czy ktoś jest dobry czy zły. A nawet człowieka, który wydaje się być złym człowiekiem należy więcej kochać, aby go przez naszą miłość nawrócić do Boga.

Innym razem Zosia stwierdziła, że za jej mamę to nie trzeba się modlić „...Mama się zbawiła moim krzyżem – wszystko przy mnie robi, trudzi się, opiekuje od dzieciństwa”. Z kolei dała takie porównanie: „Człowiek bez Pana Jezusa jest jak mieszkanie otwarte, po którym bez przeszkód hula wiatr”.



Prosta wiara i prosta miłość kobiety od dzieciństwa nie poruszającej się samodzielnie, nie mającej żadnego wykształcenia, żadnej ukończonej szkoły, nawet żadnej rozpoczętej szkoły. Ale w jej słowach można odnaleźć mądrość pochodzącą z góry.

Podchodzę kiedyś do bardzo zaniedbanej, w brudnym i poszarpanym ubraniu kobiety, która grzebie w śmietniku. Pytam, czy ma co jeść, czy czego nie potrzebuje? Odpowiada, że nie i pyta się mnie, czy mi czegoś nie potrzeba? Potem patrzę a kobieta ze śmietnika wyciąga torbę z odpadkami jedzenia, rozrywa ją, i zaczyna karmić gołębie, które wokół niej zaczynają się gromadzić. Ona nie myśli o sobie, są biedniejsi od niej. Ona ma wszystko co koniecznie do życia.

Pani Danusia ma 86 lat. Od wielu lat pozostaje przykuta do łóżka. Bracia pomagają jej w prostych ćwiczeniach, aby całkowicie nie została unieruchomiona. Właściwie, po ludzku rzecz biorąc nie ma nadziei na powstanie o własnych siłach. Mimo to Pani Danusia nie traci uśmiechu, pogody ducha i poczucia humoru jak przystało na franciszkańską tercjarkę (Siostrą III Zakonu jest już od kilkudziesięciu lat). Można powiedzieć, że wewnętrznie stoi pewnie na własnych nogach. Moc do takiego przeżywania swojej choroby daje jej niemal stała modlitwa oraz osobista więź z Panem Bogiem.

Od niedawna dodatkowo pełnię funkcję szafarza nadzwyczajnego Komunii św. wobec chorych, których odwiedzam. Pewnego razu przychodzę z Komunią św. do Pani Ireny i Pani Jadwigi, starszych kobiet, zresztą bardzo zasłużonych jako katechistki i nauczycielki dzieci w czasach prześladowań komunistycznych. Kiedy pewnego razu przyszedłem z Najśw. Sakramentem, Pani Irena rozplakała się. Zacząłem się zastanawiać co mogło się stać, czy ją coś boli, czy doznała jakiejś przykrości? Otóż nie, ona się rozplakała z radości i z wdzięczności, że przyszedł do niej Pan Jezus. Jakaż głęboka wiara osoby, którą przecież znam jako zrównoważoną, dobrze wykształconą (posiada dwa fakultety).

Te przytoczone tu przykłady, a są to tylko niektóre z wielu, których doświadczamy na co dzień, mówią o wielkości ducha tych, którym służyliśmy. Przykłady te mówią też o innej prawdzie: ten kto świadczy miłosierdzie otrzymuje więcej niż daje. Otrzymuje duchowe dary, które są bezcenne. Taka posługa właściwie nie męczy, przeciwnie daje wiele wewnętrznej radości. Uczy także pokory: kto tak naprawdę jest w większej potrzebie? Ten, komu świadczy się miłosierdzie, czy ten kto je świadczy?

br. Marek Bartoś, albertyn

...w Towarzystwie Pomocy...?

Konkursy

Dobiegła końca II edycja konkursów dla dzieci i młodzieży pt. „Dom, rodzina, miłość – utrata tych wartości to bezdomność”, organizowanych przez Zarząd Główny Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta, Zgromadzenie Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim, Młodzieżowy Dom Kultury „Śródmieście” we Wrocławiu, Gimnazjum nr 14, Szkołę Podstawową nr 63 oraz Szkołę Podstawową nr 36 we

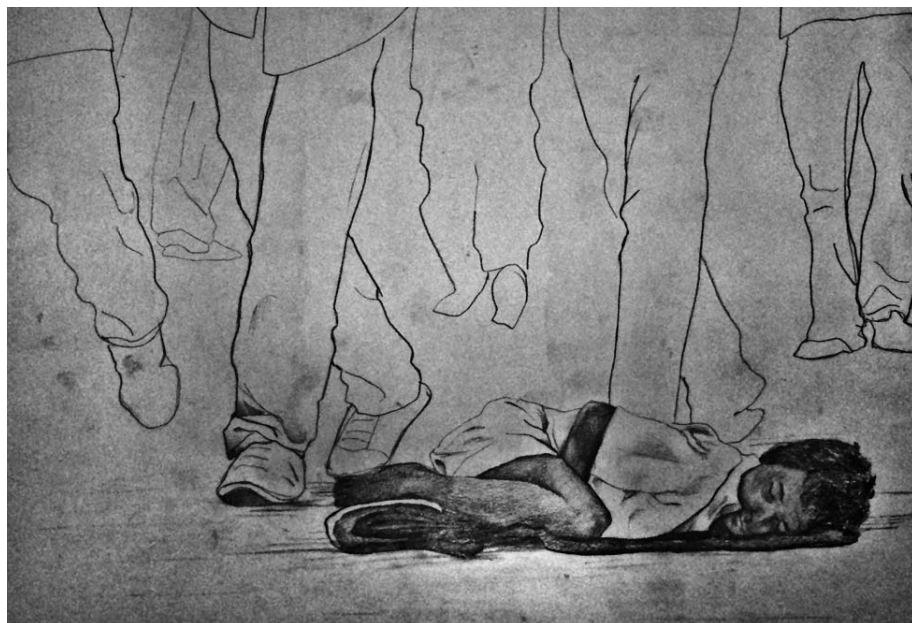
Wrocławiu. Pod honorowym patronatem JE Ks. Abp Józefa Michalika – Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, Dolnośląskiego Kuratora Oświaty – Beaty Pawłowicz oraz Prezydenta Wrocławia – Rafała Dutkiewicza.

W konkursach wzięło udział 117 uczestników konkursów reprezentujących:

12 Szkół Podstawowych:

Sz. P. nr 109, Sz. P. nr 3 im. św. Brata Alberta w Skawie, Sz. P. nr 3 w Dębicy, Sz. P. im. św. Brata Alberta w Czechowie, Sz. P. im. Marii Kownackiej w Starej Niedziałce oraz z Wro-

I nagroda: Agnieszka Apoznańska, lat 17, Zespół Szkół Plastycznych we Wrocławiu





clawia: Sz. P. nr 17, Sz. P. nr 3 im. Mariusza Zaruskiego, Sz. P. nr 12, Sz. P. nr 37, Sz. P. nr 78, Sz. P. nr 63, Sz. P. nr 7;

10 Szkół Gimnazjalnych:

Publ. Gimn. im. Adama Chmielowskiego w Żabnicy, Gimn. nr 1 w Kamiennej Górze, Zespół Szkół im. Jana Pawła II (Gimnazjum) w Rzeźnicy oraz z Wrocławia: Gimn. nr 11 im. Stefana Batorego, Gimn. nr 2 im. Józefa Mickiewicza, Gimn. nr 15, Gimn. nr 7 im. Tradycji Herbu Wrocławia, Gimn. nr 14 im. H. Kołłątaja, Gimn. nr 43, Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii nr 2, Gimn. nr 2 im. Józefa Mickiewicza;

5 Szkół Ponadgimnazjalnych:

II Liceum Ogólnokształcące im. ks. J. Twardowskiego w Dębicy, Zespół Szkół Plastycznych im. St. Kapuścińskiego we Wrocławiu, Zespół Szkół Ekonomicznych im. Janusza Korczaka (Technikum) w Dębicy, Zespół Szkół im. E. Kwiatkowskiego (Liceum Ogólnokształcące) w Dębicy, Zespół Szkół nr 23 (Technikum) we Wrocławiu; oraz Kuchnia św. Brata Alberta Koła Przemysłowego TPBA przy Klasztorze SS. Felicjanek, Centrum Pomocy Dziecku i Poradnictwa Rodzinnego w Grudziądzu.

KONKURS WIEDZY: 18 uczestników. Jury nagrodziło 12 uczniów oraz przyznało 6 wyróżnień.

KONKURS LITERACKI: 80 uczestników. Jury nagrodziło 11 uczestników oraz przyznało 3 wyróżnienia.

KONKURS PLASTYCZNY: 45 uczestników. Jury nagrodziło 4 uczestników oraz przyznało 6 wyróżnień.

26 uczestników przysłało prace podwójne zarówno na Konkurs Literacki jak i Konkurs Plastyczny.

Uroczyste rozdanie nagród odbyło się dnia 5 kwietnia o godz. 12.00 w Muzeum Miejskim Wrocławia przy ul. Kazimierza Wielkiego 35. Gościem specjalnym była Siostra Dominika ze Zgromadzenia Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim, która opowiedziała o Sanktuarium Ecce Homo Świętego Brata Alberta w Krakowie i znajdujących się tam relikwiiach.

Składamy serdeczne podziękowania dla Pani Doroty Feliks, Pani Ewy Skrzywanek, Pani Sylwii Sitek oraz Pani Ewy Klary Kołakowskiej – Koordynatorów Konkursów oraz dla Pana Bogusława Uklei, Karoliny Kołakowskiej, Beaty Bombały, Bartosza Hęćka, Anny Szuleszko, Katarzyny Zawadzkiej, Małgorzaty Mejer, Anny Wareckiej-Libner, Mateusza Majewskiego oraz Małgorzaty Wilkockiej – Członków Jury.

Historia Ziny, „baetek” i rozlanej łaski

Zinę poznałyśmy w drugim roku naszej pracy w Usolu. Miała wtedy 3 latka i wyglądała na bardzo zasmuconą dziewczynkę z pewnymi zahamowaniami w rozwoju. Pochodziła z rodziny wielodzietnej (ośmioro dzieci), biednej, patologicznej i oczywiście areligijnej (jak większość tułajskiego społeczeństwa). Tato ich zostawił. Mama się rozpiła. Dzieci były pozostawione same sobie. Zina była najmłodsza. Opatrzność Boża zesłała nas w odpowiednim czasie. Objęłyśmy opieką ją i jej starsze rodzeństwo. Zina szybko zmieniała się z brzydkiego kaczątka w małą, inteligentną „princessę”. Przestała się bać, aktywnie uczestniczyła w życiu świetlicy, rozwijając swoje aktorskie talenty. Zaczęła chodzić do szkoły, robiąc postępy w nauce. Czasami chodziła z nami do kaplicy, ale rzadko (nigdy nie ciągnęłyśmy tam dzieci na siłę). Pamiętam, że gdy miała 7 lat, wracaliśmy z kaplicy i przechodziliśmy obok prawosławnej cerkwi. Zina powiedziała wtedy do swej koleżanki (rówieśnicy) Katii – „to jest cerkiew prawosławna, ale ja zaczęłam w cer-



Wychowanki świetlicy, Angarsk, poświęcenia kościoła 4.11.2012

kwi katolickiej to i skończę w cerkwi katolickiej”. Mnie bardzo rozśmieszyła ta deklaracja Ziny. Często opowiadałam to jako „anegdotę z życia wziętą”. Według mnie to ona jeszcze nigdzie nie zaczynała. Jednak Łaska Boża już zaczęła.

Lata mijają, jest 13 maja 2012 roku, a nasza Zina ma 13 lat. Jest wysoka, długonoga, bystra, inteligentna i bardzo sympatyczna. Ma energiczny charakter. I tak Zina z rok starszą koleżanką Wałą poszła do domu towarowego kupić tzw. „baetki”. Pieniądze dostała od mamy. Zakupy skończyły się tym, że ochrona sklepu zatrzymała je obie. W torbie Ziny były skradzione baetki. Prawdopodobnie był to wspólny pomysł na zaoszczędzenie 200 rubli (cena baetek). Historia skończyła się zapłaceniem *szafratu*



W czasie wizyty duszpasterskiej o. Mirosława w Świetlicy; 7.01.2013

(2000,00 rubli). Ochroniarze znali starszego brata Ziny, który pracował w ich branży. On też zapłacił *sztraf*. Co było potem? Wala „wykręcała się jak mogła”. Zina milczała jak grób. Historia ta zdarzyła się poza świetlicą, ale dotyczyła naszych wychowanków, stąd też nie mogliśmy tego przemilczeć. Trzeba było porozmawiać z „bohaterkami”. Ta sytuacja (zresztą jak każdy grzech) już sama w sobie była dla nich karą. Poza tym Zina dostała od bliskich „areszt domowy”. Kara więc nie była już potrzebna. Niezbędne zaś było zrozumienie. „Bez Chrystusa nie można zrozumieć człowieka”. Bez Chrystusa nie można zrozumieć siebie. Wiedząc o tym, na spotkaniu z Ziną (która siedziała obok mnie w samochodzie ze spusz-

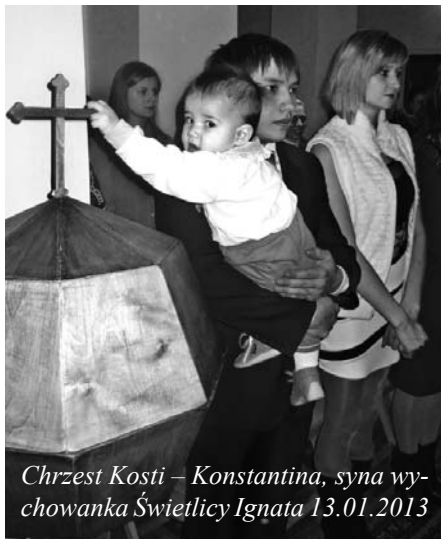
czoną głową i milczała jak partyzant) zamiast nagany zapytałam jej, czy nie chciałaby się ochrzcić. Zina się ożywiła i z błyskiem w oczach – wyraziła zgodę. Motywowałam tę propozycję tak, że z Bogiem będzie jej łatwiej wybierać. Nie będzie sama. Będzie wiedziała gdzie iść, kierując się Bożymi przykazaniami. Umówiliśmy się, że zaczniemy od września katechezę przygotowującą do Chrztu św. Pod koniec wakacji okazało się, że chętne są cztery osoby. Zina, Wala (14 lat – współniczka od „baletek”) i Weronika (14 lat); potem dołączyła do nich Nina (12 lat), z którą podczas „Wakacji z Bogiem” przeprowadziłam podobną rozmowę jak z Ziną po jednej z eksplozji jej nieokiełzanego temperamentu (który „szkodzi innym”, a ją samą męczy).

Od września po uzyskaniu zgody od rodziców; po rozmowie z o. Pawłem i po otrzymaniu Misji Kanonicznej od o. Biskupa zaczęłam katechezę przygotowującą do Chrztu św. Dzięki Bogu i modlitwom sióstr, cała czwórka „trzyma się” – uczęszcza na Mszę św. w niedziele i święta i na katechezę. Łaska Boża działa.

Aktualnie do Chrztu św. przygotowuje się jeszcze jeden nasz wychowanek – 17-letni Aleksander. Jego katechizuje proboszcz – o. Paweł. Łaska Boża działa.

13 stycznia 2013 r. w święto Chrztu Pańskiego został ochrzczony Kon-

stantin (Kostia), syn jednego z naszych wychowanków, który rok temu brał ślub w naszej parafialnej kaplicy. Podobna zasada – „człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa i do zrozumienia siebie potrzeba Chrystusa” – pomogła nam rozwiązać kolejną sytuację wychowawczą, związaną ze starszą grupą naszych („niewierzących”) wychowanków i ich wyjazdem na Festiwal Jasełek do Irkucka. 5 stycznia 2013 r. s. Agnieszka i s. Stefania po przyjeździe z Irkucka podzieliły się ze mną uwagami dotyczącymi zachowania naszej skądinąd bardzo dobrej młodzieży. Doszliśmy do wniosku, że większość tych zachowań jest przez młodzież nieuświadomiona i wynika z ich wcześniejszych, nieprzepracowanych przez nich problemów. Stąd też pewne było, że na spotkaniu z nimi jakiegokolwiek uwagi powinny być na końcu, a na początku trzeba jeszcze raz „donieść” do ich serc bezwarunkową Bożą Miłość. Oddaliśmy to WSZYSTKO w RĘCE PANA. Nazajutrz w Objawienie Pańskie natchnęło mnie, żeby przygotować dla nich (dla każdego osobiście) *List Miłości Boga Ojca*, oparty na fragmentach Biblii. Spotkanie odbyło się 7 stycznia po wizycie duszpasterskiej w świetlicy. List zaadresowany do każdego osobiście wywarł na nich ogromne wrażenie. Poprosiłam, żeby go zachowali i czytali codziennie wieczorem i umówiliśmy się na



Chrzest Kosti – Konstantina, syna wychowanka Świetlicy Ignata 13.01.2013

spotkanie za tydzień. Dalej wspólnie czytaliśmy ten list. Potem w mniejszych grupach młodzież oglądnęła film „Spotkanie” (który wcześniej oglądałam na spotkaniu katechetycznym w Listwiance, a obydwie siostry jeszcze w Polsce). Po tym filmie od samej młodzieży wyszła propozycja czytania Pisma Świętego. Od tego czasu raz w tygodniu spotykamy się na wspólnym czytaniu Pisma Świętego. Im ta chęć nie przechodzi. My się cieszymy i modlimy a PAN działa. Mamy nadzieję, że otworzy ich serca na Dar Wiary.

Prosimy o modlitewne wsparcie...

s. Taida Lolo

Imiona dzieci zostały zmienione.



fot. ks. Marek Mroczek

*Panie, mój brat misjonarz wyjechał,
ponieważ wezwałeś go po imieniu
i nie zadowolisz się zastępcą,
wyjechał, ponieważ wierzy, że życie
ma sens, gdy staje się służbą,
wyjechał, ponieważ chce wszystkim
głosić Twoje zbawienie,
wyjechał, ponieważ przez niego
chcesz uświęcać ludzi.*

*On wyjechał, a my oczekując na jego
powrót pragniemy towarzyszyć mu
naszą modlitwą na jego misyjnych
drogach.*

Dzisiaj kiedy wiemy, że już do nas nie wróci, z pokorą przyjmujemy Twoją wolę Panie.

Dziękujemy Ci Panie za jego życie, za łaskę wiary, za powołanie kapłańskie i misyjne a szczególnie za łaskę wytrwania.

s. Rozalia Piszczyk

Śp. ks. Józef Piszczyk

W wielkanocny wtorek, 2 kwietnia 2013, doszła nas wiadomość, że zaginął rodzony brat naszej siostry Rozalii, długoletni misjonarz w Kongo, ks. Józef Piszczyk. Po trzech dniach poszukiwań odnaleziono jego ciało w rzece.

Ks. Józef miał problemy ze zdrowiem, ale nie dał się namówić na powrót do Polski. 10 kwietnia miał przylecieć na kurację. Dzień ten okazał się być dniem jego pogrzebu.

Łączymy się z Rodziną i parafianami Oyo w bólu z powodu jego śmierci, ale też dziękujemy Panu Bogu za tak piękne kapłańskie życie.

Więcej informacji można znaleźć na stronie: <http://www.misje.diecezja.tarnow.pl/piszczyk.php>.

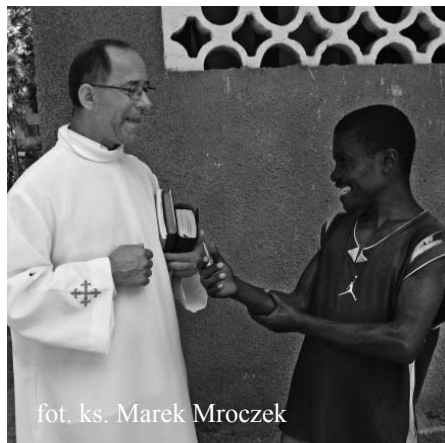
s. Agnieszka Koteja



fot. ks. Marek Mroczek

„Delikatność śp. księdza Józefa była jego najpiękniejszą cnotą, cnotą człowieka dobrze ukształtowanego w swoim humanizmie i w swojej duchowości. Niech w naszej pamięci pozostanie jego ujmujący dobrem uśmiech, jego otwartość i jego miłość wobec bliźniego.”

Ks. Jan Piotrowski



fot. ks. Marek Mroczek

Inzo ya ndiku ke ntama ve

Dom przyjaciela nie jest nigdy daleko! – przysłowie bakongo

Dlaczego młody polski kapłan, pełen energii i zdrowia, zostawił Polskę, swoją Ojczyznę, zostawił swoją Rodzinę, swoją Diecezję i przybył tutaj do Afryki, tu do Oyo, można powiedzieć na krańce świata, w pobliżu równika? (...)

Jedna jest tylko odpowiedź: przybył tutaj po to, by głosić Ewangelię, by świadczyć o Ewangelii Chrystusa i po to by dopomagać temu młodemu

misyjnemu Kościołowi w rozwoju i wzrastaniu. (...)

Nie przybył tutaj dominować, rozkazywać, ale służyć: służyć samemu Chrystusowi, który jest Dobrym Pasterzem (...) Tak, możemy dzisiaj stwierdzić z całą pewnością, że ksiądz Józef był dla nas dobrym Pasterzem, na wzór Chrystusa, Najwyższego Pasterza. Właśnie dlatego ta Owczarnia w Oyo słuchała Jego głosu, w którym odkrywała głos Dobrego Pasterza. Dlatego był on tak bardzo kochany, a to wszystko co działo się tutaj w dniach po jego zaginięciu, cała ta wielka sztafeta modlitwy i solidarności, jak również wasza tak liczna dzisiejsza obecność są potwierdzeniem tej prawdy, że był on dobrym Pasterzem, cenionym i miłowanym. (...)

Księżę Biskupie, Bracia kapłani, tyle razy tu byliśmy, znajdując gościnę, coś do picia, posiłek w drodze, chwilę odpoczynku, dobre słowo. Teraz musimy kontynuować to jego dobre dzieło. I pewni jesteśmy, że ksiądz Józef będzie nam pomagał, prosząc Boga by wam błogosławił w dalszej pracy. Wierzmy głęboko, że on żyjąc w tajemnicy świętych obcowania, będzie tutaj duchowo obecny, będzie pomagał, a gdy trzeba, to pokreśli głową, jak to zwykł robić gdy coś było nie tak. Będzie was uczył, że służyć to myśleć o innych, to kochać innych.

fragmenty homilii abp Jana Roméo Pawłowskiego, nuncjusza apostolskiego w Republice Konga, podczas Mszy pogrzebowej 10 kwietnia 2013

O obrazie „Ecce Homo” – okiem amatora sztuki

ks. Grzegorz Ryś



Bp Grzegorz Ryś – historyk Kościoła, od 2011 krakowski biskup pomocniczy.

Zapis (nieautoryzowany) wykładu wygłoszonego 10 X 2010 r. na Małej Scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

Chcę się zastrzec, że wszystko, co tu powiem, jest słowem amatora – nie jestem historykiem sztuki. Ale amatorzy to nie są ludzie skazani na klęskę.

Brat Albert – Adam Chmielowski – był człowiekiem, który uczył się malować od najlepszych mistrzów. Uczył się malować przez to, że chodził po wystawach i przyglądał się n a j l e p s z y m . Jest ładny tekst Brata Alberta jeszcze jako Adama Chmielowskiego, że głupi jest ten, kto ma możliwość picia wody ze źródła, a pije z konewki. Trzeba pić ze źródła, uczyć się od najlepszych. Myślę, że Brat Albert uczył się od najlepszych.

Dobrze jest pokazać rozwój motywów, z których Brat Albert mógł

korzystać, kiedy zaczynał malować i kiedy długo długo malował obraz, na który patrzymy – bo malował go wiele lat i tak naprawdę nigdy go nie skończył. Ukończył go na chybcika, bo metropolita lwowski obrządku greckiego uprosił ten obraz. Brat Albert mu go podarował – bardzo szybko wykończył i podarował arcybiskupowi Szeptyckiemu.

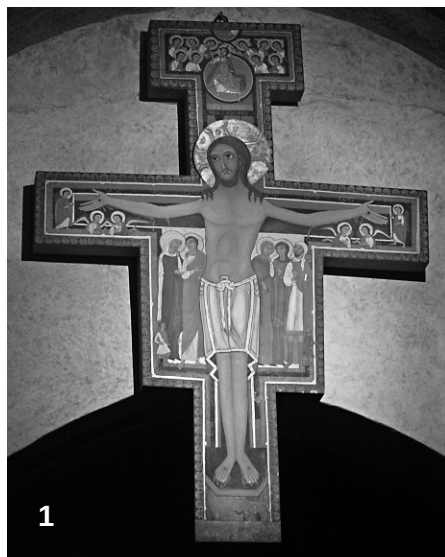
Przez wiele lat ten obraz odbijał życie wewnętrzne Brata Alberta; on się modlił i malował, modlił się malując. Jego bracia odbywali dni skupienia przed tym obrazem. To jest obraz przeznaczony do medytacji. Dobrze, że mamy jego zdjęcie; osobiście nie znoszę wszelkich jego kopii. Zdjęcie jest najlepszą możliwością, żeby się z tym obrazem spotykać – tego obrazu skopiować się nie da.

Pytanie

Zacznę od porównania obrazu „Ecce Homo” z przedstawieniem Pana Jezusa, jakie zapewne Bratu Albertowi musiało być bliskie – Krzyż z San Damiano (zob. fot. 1), z którego Pan Jezus przemówił do Franciszka, mówiąc mu: „Idź, odbuduj mój Kościół”. Między tymi dwoma obrazami jest przepaść polegająca na tym, że Chrystus z San Damiano to nie jest Chrystus cierpiący. Chociaż jest na krzyżu, On nie tyle umiera, co się modli. Postawa Pana Jezusa na tym krzyżu jest postawą, którą już w starożytności nazwano postawą Oranta.

Postawa zachowana jeszcze w liturgii; czasem modlimy się w ten sposób, że wznosimy do góry ręce. W taki sposób modli się w liturgii przede wszystkim kapłan i tu właśnie mamy taką scenę: Chrystus pokazany jako kapłan, który modli się za Kościół zebrany u podnóża krzyża. W każdym razie Chrystus nie cierpi, Jego twarz jest pełna majestatu. A jeśli przypatrzyć się dokładnie temu przedstawieniu, to nad głową Pana Jezusa jest Jego drugie przedstawienie, jak wstępuje do nieba – w czerwonym kole. Niesie krzyż, ale niesie go jak berło, jak znak zwycięstwa. Z tego krzyża wstępuje w rzeczywistość boską. To jest moment triumfu, królowania, zwycięstwa, modlitwy za cały świat – ale nie moment cierpienia.

Krzyż z San Damiano, XII w.



Natomiast niewątpliwie było tak, że dzięki św. Franciszkowi było możliwe zupełnie inne przedstawienie Chrystusa (zob. fot. 2). Franciszek był zafascynowany człowieczeństwem Chrystusa, zafascynowany Jego męką. Był też zafascynowany Jego narodzeniem, bo to były dwie najbardziej ludzkie tajemnice Jezusa w Ewangelii: narodziny i śmierć.

Ten krzyż jest też z San Damiano, znajduje się po prawej stronie od wejścia, w kruchcie, która prowadzi do głównego kościoła. On jest troszkę późniejszy, wykonany po kilku wiekach przez jednego z braci św. Franciszka. Przed św. Franciszkiem takiego przedstawienia nikt by nie wykonał. Nie przedstawiono by Chrystusa w taki sposób, jako kogoś, kto oddaje swe ostatnie tchnienie. Nawet wymiary tego krzyża są uderzające – on ma rozmiar człowieka, 1:1. Na tym krzyżu z San Damiano Chrystus jest dwukrotnie większy od ludzi, którzy stoją pod krzyżem; właśnie po to, by pokazać także rozmiarami, że to nie jest zwykły człowiek, tylko Bóg-Człowiek, Bóg na krzyżu; nie tylko człowiek. Św. Franciszek był bardzo skoncentrowany na człowieczeństwie Jezusa.

Mówienie o nim nie jest przypadkowe – wiadomo, że Bratu Albertowi jest on postacią niesłychanie bliską (Franciszek, Jan od Krzyża i jeszcze Wincenty a Paulo; Brat Albert idąc za tymi trzema postaciami tworzył swój



Krzyż z San Damiano, XVII w.

wewnętrzny świat, odkrywał swój charyzmat, swoje dary od Boga, swój świat wiary). Taki właśnie franciszkanizm – Chrystus cierpiący – musiał być Albertowi bliski.

Następne zdjęcie pokazuje to, co było już możliwe po Franciszku (zob. fot. 3). Po Franciszku było już możliwe przedstawienie Ecce Homo. Tu mamy piękne przedstawienie Chrystusa w scenie Ecce Homo z tzw. Tryptyku Dominikańskiego z drugiej połowy XV wieku.

Można by powiedzieć, że artysta starał się nie tylko opisać to wydarzenie, ale chciał także oddać jego znaczenie, jego teologię. Proszę zobaczyć, że Chrystus cierpiący, pokazywany przez Piłata, jest ustawiony na tronie, stoi na tronie. To jest niezwykle, ponieważ o malarstwie gotyckim najczęściej mówimy, że jest narra-

cyjne, że ono *opowiada*. Symboliczna była bardziej sztuka romańska. W sztuce romańskiej usiłowano używać symbolu w każdym fragmencie. Gdy wchodzi się do kościoła romańskiego, widzi się w absydzie z reguły trzy okna, trzy źródła światła – żeby zobrazować Tróję Świętą, ponieważ sprawując Eucharystię wchodzimy w wewnętrzny świat Trójcy Świętej. Taki był styl romański; gotyk był bardziej narracyjny. I tu widzimy próbę opisanie wydarzenia historycznego, ale widzimy też, że autor próbuje uchwycić jakiś sens: w scenie Ecce Homo pokazuje Chrystusa jako króla. Niemniej, jeśli porównamy te dwa przedstawienia Ecce Homo, to różnica jest uderzająca. Przede wszystkim ta, że Brat Albert wszystkich usunął



„Ecce Homo” – *fragm.*
(Tryptyk Dominikański)



„Mąż Boleści” (*Vir Dolorum*) – *fragm.* (kościół w Kurozwękach)



„Chrystus w studni” – *fragm.* (kościół św. Anny)

ze sceny – zostawił wyłącznie Chrystusa. Scena z Tryptyku Dominikańskiego jest pełna dynamiki, nie mamy wątpliwości, że to jest przedstawienie konkretnego wydarzenia, które kiedyś się dokonało. Patrząc na ten obraz jesteśmy dokładnie umieszczeni w czasie – historycy się domyślają, że Wielki Piątek przypadał 7 kwietnia 30 roku *anno Domini*.

Ale patrząc na obraz Brata Alberta...? – Nie ma tych wszystkich lu-

dzi, którzy są bohaterami dramatu. Nie ma Piłata, nie ma kapłanów, nie ma ludu, nie ma żołnierzy. Jest sam Chrystus. Obraz jest nieco statyczny. Wygląda na to, że nie jesteśmy – patrząc na ten obraz – w dniu 7 kwietnia 30 roku. Może jesteśmy zupełnie gdzie indziej... może jesteśmy w wieczności (?).

Gdy patrzymy na obraz z Tryptyku, to widzimy, co Chrystusowi zrobiono. Gdy patrzymy



na obraz Brata Alberta, to widzimy, kim Chrystus jest. Kim jest sam z siebie. Nie dlatego, że ludzie Go takim uczynili. On jest właśnie taki. Tam widzimy, co człowiek zrobił Bogu. Tu – odkrywamy, kim Bóg jest. Kim jest Chrystus.

Dlatego myślę, że Brat Albert był człowiekiem genialnym i łączył w sobie kilka motywów sztuki, jaka była przed nim.

Mamy też przedstawienie, które jest niezwykle podobne do przedstawienia „Ecce Homo” – a nie jest to „Ecce Homo” (zob. fot. 4). Gdy zestawimy Tryptyk Dominikański z drugiej połowy wieku XV z obrazem Chrystusa z Kurozwęk, widzimy, że nawet układ postaci jest taki sam; wydaje się, że wszystko jest takie samo. Jest jedna różnica, oczywiście: na obrazie z Kurozwęk Chrystus ma już ranę boku. To znaczy, że to nie jest przed męką, tylko po zmartwychwstaniu. Chrystus jest ponownie żywy, zmartwychwstały, i zachowuje na swoim ciele rany. Ten typ przedstawienia nazywa się bardzo często *Vir dolorum* – Mąż boleści. Ale ten Mąż boleści to nie jest Chrystus, który się dopiero przygotowuje do śmierci na krzyżu, tylko Chrystus, który już powstał z grobu, ale zachował na sobie ślady męki. To jest coś niesamowicie pięknego w duchowości końca średniowiecza. Są polskie pieśni, w języku polskim, które śpiewano po kościołach w XV

wieku, w których autorzy zadają sobie pytanie, dlaczego Chrystus zmartwychwstały zachował na swoim ciele ślady męki – po co Mu rany na ciele uwielbionym? Chrystus w tych pieśniach odpowiada, że zachował te rany po to, by je okazać ludziom na Sądzie Ostatecznym. Myślenie jest takie, że na Sądzie Ostatecznym nie zostaniemy skonfrontowani z książką, w której byłby wypisany katalog naszych grzechów – to jeszcze byłoby proste; jeszcze prostsze byłoby, gdybyśmy byli skonfrontowani z książką, w której byłyby wypisane przykazania, zasady moralne. Ale zostaniemy skonfrontowani z ranami Chrystusa. Chrystus na Sądzie powie: „Popatrz, jak cię kochałem, ile byłem w stanie dla ciebie znieść”. Będziemy skonfrontowani z nieskończoną Miłością, która była gotowa za nas umrzeć – dlatego Chrystus zachował na swoim ciele rany.

Motyw *Vir dolorum* jest, jak sądzę, motywem przejściowym między „Ecce Homo” z Tryptyku Dominikańskiego a „Ecce Homo” Brata Alberta. To znaczy: możemy kontemplerować takiego Chrystusa myśląc o wieczności, a nie tylko myśląc o historycznym wydarzeniu męki Jezusa w kwietniu roku 30-go.

Zobaczymy jeszcze jeden motyw, który niektórzy nazywają *Chrystusem w studni*, inni – *Chrystusem w grobie* (zob. fot. 5). To jest wariant motywu *Vir dolorum*. Mamy Chrystusa

zmarłychwstałego, który ma zachowane rany. Nierzadko krew z rany boku spływa do kielicha – to jest też przedstawienie eucharystyczne, podkreślające, że w Eucharystii mamy Ciało i Krew Chrystusa cierpiącego i zmarłychwstałego. Zmarłychwstał, stoi we własnym grobie, przy Nim bardzo często Matka Boża, która medytuje wydarzenie bolesciwego Pana, swojego Syna. To jest właśnie to, co należy zrobić przy takim obrazie. Nie chodzi o to, żeby o nim opowiadać, ale trzeba wobec niego stanąć w postawie medytacji, modlitwy, skupienia. Takim jest bardzo piękny, XV-wieczny obraz do dzisiaj przechowywany w kościele św. Anny. Jest piękna tradycja, że przed tym obrazem modlił się św. Jan Kanty; w Kętach jest wiele takich przedstawień, które Jana Kantego pokazują przed tym właśnie obrazem, jak klęczy przed tym przedstawieniem. Zawsze, gdy patrzyłem na obraz Brata Alberta, intrygował mnie ten balkon – ni z gruszki ni z pietruszki, dlaczego go Brat Albert takim tu wymalował. Dzisiaj pomyślałem, że ten balkon jest bardzo podobny do tego grobu, do motywu *studni*. Historycy mówią „studnia”, bo grób Chrystusa jest prawdziwą studnią – studnią łaski, studnią miłości, studnią miłosierdzia. Stąd mówimy: „Chrystus w studni” – ale to chodzi o pokazanie tego, ile życia (woda jest symbolem życia) kryje się w Jezusowym grobie. Tak więc

sobie teraz myślę (nigdy tego wcześniej w ten sposób nie widziałem), że parapet, nad którym widać Chrystusa, to jest właśnie ten zrąb studni; próba włączenia tego motywu, bardzo znanego w sztuce średniowiecznej.

W każdym razie patrząc na obraz Brata Alberta nie medytujemy tylko nad wydarzeniem historycznym, tak jak medytował człowiek średniowieczny, patrząc na przedstawienie w Tryptyku Dominikańskim. W średniowieczu jeszcze bardzo często było tak, że to „Ecce Homo” z reguły nie funkcjonowało samo, ale w cyklu przedstawień. Tryptyk Dominikański ma tych przedstawień kilka – od Wieczery Pańskiej, potem jest Ogrójec, biczowanie, potem jest właśnie Jezus przed Piłatem, przed Kajfaszem, potem była droga krzyżowa, ukrzyżowanie, złożenie do grobu. Jest całe opowiadanie o tym, co się wtedy działo. Natomiast patrząc na obraz Brata Alberta nie pytamy co się wtedy działo, tylko pytamy, kim jest Bóg. Kim jest Bóg – w wieczności.

Może jeszcze jeden argument za tym (zob. fot. 6). Te przedstawienia wydają się dość odległe od siebie – czasowo są dość dalekie. To jest miniatura z rękopisu, który nazywa się *Ewangeliarzem Emmeramskim*, bo był podarowany do klasztoru św. Emmerana na początku wieku XI-go; prawdopodobnie w czasach Hermana był przywieziony do Polski i do dziś jest przechowywany w archiwum ka-



*Chrystus w mandorli, miniatura
z Ewangeliarza Emmeramskiego*

pitulnym na Wawelu. Przepiękny, jeden z tzw. *złotych kodeksów* – nazwa bierze się od tego, że w miniaturach jest używane złoto malarskie. Zdjęcie w ogóle nie jest w stanie tego pokazać, ale proszę sobie wyobrazić, że to wszystko, co tu wygląda na brunatne, jest złotem. Takich wielkich miniatur jest w tym kodeksie kilka, jest też kilka drobnych inicjałów – ale to już osobna historia. Chrystus na majestacie jest tu pokazany w tzw. *migdale* – historycy sztuki nazywają go *mandorlą*. *Mandorla* jest symbolem wieczności. Czasem, jak widzieliśmy na Krzyżu z San Damiano, jest to koło. Ale jeśli się wchodzi w taką sferę wyznaczoną kształtem *migdału*,

to wchodzi się w sferę boską. Dlatego Pan Jezus zmartwychwstały na krzyżu z San Damiano wchodzi w koło, to znaczy wchodzi w rzeczywistość boską – to jest przedstawienie Wniebowstąpienia. Tu mamy Chrystusa, który w wieczności, w niebie, jest pokazany jako Król; *migdał*. Warto być wrażliwym na *migdał* w sztuce sakralnej. Ile razy widzimy ten kształt, to znaczy, że ktoś nas chce wprowadzić w rzeczywistość boską. Nigdy tego nie zapomnę, gdy ze studentami na obozie naukowym jeździliśmy po kościołach w Burgundii, oglądaliśmy stare kościoły pielgrzymkowe, po drodze zajechaliśmy też do Fontenay. To jest stary klasztor cysterski, który od początku do końca wymyślił, zaprojektował w detalach, św. Bernard z Clairvaux. Jak się wchodzi w boczną nawę, to ma się przed oczami z wielokrotnionym *migdałem*. To jest coś niezwykłego. Mnisi, którzy wstawali w nocy i wchodziłi do kościoła, żeby się modlić liturgią godzin, od razu mieli poczucie, że z sypialni wchodzi w rzeczywistość niebieską.

Na obrazie „Ecce Homo” – to też jest rzecz, która mi nigdy nie dawała spokoju, gdy patrzyłem na ten obraz – dlaczego (patrzac od naszej lewej strony) płaszcz jest przedłużony taką kreską, która idzie przez ten parapet czy balkon, na którym Chrystus się pokazuje. Ta kreska nadaje osobie Chrystusa kształt *migdału* – postać Chrystusa jest wpisana w *migdał*. Ks.

Konstanty Michalski, który napisał fantastyczną książkę o Bracie Albercie, też medytował nad tym obrazem i rozmawiał o nim także z metropolitą arcybiskupem Szeptyckim. Szeptycki zwrócił uwagę na podobieństwo Brata Alberta do Picassa – że Picasso czasem zniekształcał to, co przedstawiał, po to, by wydobyć z tematu jeszcze dodatkową treść – jakby wpisując to, co chciał przedstawić, w pewien schemat. Tu też mamy taką próbę wpisania postaci Jezusa w migdał. I to jeszcze raz potwierdza, że my patrząc na ten obraz uzyskujemy odpowiedź nie na pytanie, co się stało z Jezusem w Wielki Piątek, tylko uzyskujemy odpowiedź na pytanie, kim jest Bóg w wieczności, w swoim wewnętrznym bycie; kim On jest – zawsze, a nie tylko, co się z Nim stało w Wielki Piątek.

Próba odpowiedzi

Skoro takie jest pytanie („Kim On jest?”), to spróbujmy na nie odpowiedzieć. Odpowiedź pierwsza, którą gdy się ją raz usłyszy, to już potem nie sposób o niej nie pamiętać, jest taka, że Bóg jest SERCEM. To jest też odpowiedź, której nam udziela arcybiskup Szeptycki – to jest to, co powiedział Michalskiemu, kiedy razem patrzyli na ten obraz we Lwowie: Niech książdź patrzy! Niech książdź patrzy, co Brat Albert zrobił – to jest nowe, genialne przedstawienie Serca Boga; tak jest ułożony płaszcz, czer-

wony płaszcz Chrystusa, że na piersi Chrystusa powstaje jedno wielkie serce. Tak więc Bóg w wieczności, także objawiony w Chrystusie (wiemy: „Kto Mnie zobaczył, zobaczył i Ojca” – nie mamy innego sposobu docierania do tego, kim jest Bóg, jak tylko patrząc na Słowo Wcielone: patrzymy na Chrystusa – wiemy, kim jest Odwieczny) – Bóg w wieczności jest SERCEM, Miłością.

To odkrycie, że Bóg jest Miłością, tak naprawdę musiało zmienić myślenie Brata Alberta o sobie i o tym, co człowiek może robić: jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Byłem kiedyś w Moskwie na konferencji Polsko-Rosyjskiej Komisji do Spraw Trudnych (niektórzy pytają, czy są jakieś inne – inne sprawy polsko-rosyjskie niż trudne), dotyczącej tego, czy istnieje nauka społeczna Kościoła prawosławnego. Kościół prawosławny, zwłaszcza rosyjski, dopiero teraz tworzy zręby swojej nauki społecznej. Tworząc ją próbuje trochę dialogować z Kościołem łacińskim (to jest też właściwie pierwsza próba dialogu z Kościołem łacińskim w Polsce, bo prawosławnej Cerkwi rosyjskiej łatwiej jest rozmawiać np. z Kościołem łacińskim we Francji). Występował tam jeden z doradców obecnego patriarchy Moskwy i mówił, że dla Kościoła wschodniego ten zwrot, że człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga jest czymś niesłychanie istotnym. Gdy



mówią „obraz i podobieństwo”, to nie chodzi tylko o dwukrotne wypowiedzenie tego samego. Obraz to jest coś statycznego; podobieństwo – to jest rzeczywistość dynamiczna. Obraz Boga każdy ma w sobie. To jest nieusuwalne. To jest coś, co decyduje o godności człowieka, która jest absolutnie nieusuwalna. Człowiek nie może zrobić takiego w życiu, co by z niego wyrzuciło obraz Boga. Zawsze będzie obrazem Boga. Dlatego każdy człowiek nosi w sobie niesamowitą godność; ona jest nie tylko ludzka, ona jest także święta, sakralna. Natomiast człowiek, mający w sobie obraz Boga, jest wezwany także do tego, by się do Boga upodabniać. To upodobnienie już jest procesem. To jest to, co człowiek dokonuje. Jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo – to znaczy, że Bóg nie tylko wpisał w nas swoją własną godność, ale też nas uruchamia do tego, byśmy się do Niego upodabniali. Jeśli ktoś odkrywa taki obraz Boga („Ecce Homo”!) to jest wezwany do tego, by się do Niego upodobnić. To jest obraz i podobieństwo. Jeśli Brat Albert odkrył takiego Boga, taki obraz Boga, to teraz z takiego obrazu idzie wezwanie do upodobnienia: żeby stać się podobnym. On sam kiedyś napisał takie ładne zdanie, że „cnota polega na praktycznej znajomości Boga”. Nie chodzi o to, żeby Boga tylko znać – trzeba Go znać praktycznie. Wtedy obraz prze-

kształca się w podobieństwo. Odkrył Go jako Serce – no i „nie miał wyjścia”, musiał się stawiać sercem. Jeśli chciał dalej konsekwentnie ten obraz malować i przed nim się modlić, to Serce wzywało go do tego, by się stał sercem. To jest pierwsza niesłuchanie ważna odpowiedź.

Druga (odpowiedź): korona cierniowa. Piłat wyprowadził Jezusa w koronie cierniowej. Co by to mogło znaczyć, że Bóg także w wieczności jest naznaczony koroną cierniową? Ojcowie Kościoła w koronie cierniowej, którą Chrystus bierze na głowę, widzieli dowód na to, że Chrystus jest Drugim Adamem – to znaczy bierze na siebie konsekwencje grzechu pierwszego Adama. W Księdze Rodzaju Bóg mówi do Adama po grzechu, że odtąd ziemia będzie mu rodziła ciernie. To jest właśnie to: ziemia urodziła ciernie, ale te ciernie wzięły na swą głowę Nowy Adam. Korona cierniowa jest znakiem, jak dalece Bóg jest solidarny z każdym człowiekiem, i jak dalece jest solidarny z człowiekiem, który ma nieszczęście być grzesznikiem. Człowiek jest grzeszny, człowiek upadł i ciągle upada, ale Bóg jest kimś, kto nie pozwala człowiekowi zostać samemu w jego grzechu, Bóg mówi: twój grzech mnie obchodzi, jestem gotów brać konsekwencje twego grzechu na siebie. Bóg nie jest solidarny z grzechem, nie prowadzi żadnego dialogu z grzechem, ale z grzesznikiem jest

solidarny – aż po wzięcie na siebie wszystkich konsekwencji grzechu.

I jeszcze dwa ważne szczegóły. Na Tryptyku Dominikańskim Chrystus jest ukazany nago, jedynie w płaszczu, który założono na Niego na pośmiewisko; natomiast Brat Albert pokazuje Chrystusa ubranego w białą suknię i czerwony płaszcz. Te dwa kolory też są ważne – tradycyjnie od XII wieku w sztuce pokazywano przede wszystkim papieża ubranego właśnie tak: papież zawsze był w białej sukni i czerwonym płaszczu. Do dziś to zostało w stroju papieskim – papież chodzą na biało, ale jeśli wkładają płaszcz, to jest on czerwony. Noszą także buty bordowe – porfirowe. Pasują do tego białego? Dlaczego je noszą? Płaszcz też jest porfirowy. Dlaczego? – Bo porfir był kolorem cesarskim. Bordowe buty są symbolem świeckiej władzy papieża (jest on głową państwa; dziś ma ono 44 hektary, ale w oparciu o nie Papież ma swych przedstawicieli dyplomatycznych w innych krajach itd.). Ten porfir jest taką imitacją imperium. Na grobach cesarzy trumny są porfirowe, gdy się rodził następca tronu cesarskiego, to w Konstantynopolu przenoszono rodzącą matkę do sali, która miała ściany wyłożone porfirowymi płytami i ten malec, który przychodził na świat, rodził się w porfirze. Podwójna szata, biała i czerwona, podkreśla podwójną władzę papieża – białą jest symbolem wła-

dzy kapłańskiej, a czerwona władzy królewskiej. Mamy Chrystusa, który jest kapłanem i królem. Godność królewska jest wpisana w Ewangelii Jana w Ewangelię męki – to, co próbował też pokazać autor Tryptyku Dominikańskiego, przedstawiając Chrystusa na tronie. W Ewangelii Jana Chrystus w momencie umierania jest królem. Nie ma w niej Szymona z Cyreny. Jan, który przecież był na drodze krzyżowej, usunął Szymona z tej historii. Dlaczego? Szymon tu nie pasuje, Chrystus musi sam nieść, On nie potrzebuje pomocników – On nie jest słaby. On jest zwycięzcą, który idzie do ostatniej bitwy, bo gdy Chrystusa podniosą na krzyżu, On „wszystkich do siebie przyciągnie”. Ten tron naprawdę się udał temu dominikaninowi (anonimowemu artyście; my protokołujemy każde dwa zdania, które ktoś napisał, w średniowieczu artyści się nie podpisywali, mieli poczucie, że tworzą dla czegoś znacznie większego) – bardzo dobrze czytał ewangelię Janową. Mógł ją czytać albo po łacinie albo po grecku; Jan użył takiego słowa w Ewangelii, że kiedy czytamy, że „zasiadł na trybunale”, to nie wiadomo, kto siedzi na trybunale – czy Piłat, czy Chrystus. Jan użył takiego słowa greckiego, które można tłumaczyć na dwa sposoby. Nie wiemy, kto siedzi na tronie: Piłat czy Chrystus. Ewangelia, tak jak ona jest napisana, raczej by sugerowała, że Chrystus. W dialogu



z Piłatem Chrystus jest kimś, jest absolutnie wolny. Piłat jest zniewolony, chciałby inaczej, a nie potrafi. Chrystus jest wolny, ma więc w sobie godność królewską. I tu na obrazie jest to samo: Chrystus jest królem. Brat Albert poszedł wiernie za Janem, za teologią Ecce Homo. Chrystus Król jest kimś, kto ma w sobie królewską wolność. To jest też coś, co ma praktyczne przełożenie dla nas: od chrztu jesteśmy wszyscy królami, uczestniczymy w królewskiej godności Chrystusa. To znaczy, że jesteśmy wezwani do królewskiej wolności, do tego, by nadawać swemu życiu kierunek. To jest zupełnie inna władza, niż się wydaje ludziom na co dzień. Ludziom się wydaje, że żeby mieć władzę, trzeba panować nad innymi. Chrystus jest królem przez to, że ma absolutną władzę nad sobą samym.

I Kapłan – przez białą suknię (tego brakuje na Tryptyku Dominikańskim). Brat Albert zobaczył Chrystusa-Kapłana w tej scenie, bo Bóg jest też odwiecznie Kapłanem. Jest liturgia, która toczy się w niebie, my tylko w niej uczestniczymy tu na ziemi. Ile razy przychodzimy na Eucharystię, uczestniczymy w liturgii, która dzieje się w niebie. Chrystus składa siebie na ofiarę Ojcu – w niebie. Wit Stwosch na nagrobku Kazimierza Jagiellończyka przedstawił taką scenę, że Chrystus podejmuje krzyż w dialogu w wieczności; genialna scena. Właśnie taka, jak też Brat Albert tu

sugeruje. Kapłaństwo Chrystusa, które trwa odwiecznie i na całe wieki. On jest takim Kapłanem, który jest też Ofiarą, jest Barankiem ofiarnym. W Chrystusowym kapłaństwie jest właśnie to: że jest Ofiarnikiem i Żerwą równocześnie.

„Ecce Homo” – pytanie o Boga, pytanie o Chrystusa. Za każdym razem, gdy wpatrujemy się uważnie w ten obraz, odnajdujemy dalsze odpowiedzi.

s. Agnieszka Koteja

* * *

przed obrazem „Ecce Homo”

Ten płaszcz, który Ci narzuciłam
- sukno zawodu i kpiny - nie wytrzymuje
żaru
bijącego z piersi. Pętla, którą zaciskałam
- jedna, druga, trzecia - wisi
luzem. Studnia, w którą Cię zepchnęłam
- nie patrzeć, nie patrzeć! nie ujrzeć! -
nie umie Cię wessać
w głąb
ziemi. Nasze
zmartwychwstanie.

30 września 2012

Okiem i sercem

Małgorzata Tuszyńska

Obraz został namalowany w 1874 roku w Zarzeczcu. Adam Hilary Bernard Chmielowski podarował go miejscowemu proboszczowi, gdzie pozostał do I wojny światowej. W latach 1919-1961 dzieło było własnością prof. dra Adama Wrzosa z Poznania. Przez następne 20 lat do roku 1981 obraz gościł u kard. Stefana Wyszyńskiego. Potem był własnością kard. Józefa Glempa. Jak piszą znawcy biografii A. Chmielowskiego, jego artystyczna postawa charakteryzująca się wnikliwą obserwacją pospolitej rzeczywistości nie spotkała się jednak z uznaniem ze strony protektora artysty, Lucjana Siemieńskiego. Rozdźwięk ten spowodował, że Adam opuścił przyjaciela i wyjechał do Warszawy. Obraz „W oborze” jest ostatnim namalowanym w Zarzeczcu.

Co tak do głębi porusza mnie w tym pozornie realistycznym obrazie?... Widzę spokojnego, uśmiechniętego mężczyznę, który w geście zamyślenia, podpira się prawą ręką... Może przysiadł by odpocząć, zastanowić się i cieszyć się z tego co ma, czym się zajmuje na co



dzień. I cieszy się, że to co ma jest dobre... W tym prostym, gospodarskim pomieszczeniu panuje atmosfera spokoju, pewnego rodzaju błogostanu, świętowania. Może to nie dzieli... czas święty, подарowany przez PANA... Czytam w Księdze Rodzaju, że po tym jak Bóg stworzył świat i człowieka odpoczął po swym trudzie: „I widział Bóg, że wszystko co stworzył było bardzo dobre” (Rdz 1,31). Zatem istota ludzka i wszystko inne stworzone jest boskie ze swej natury (por. Rdz 1,27). Cóż człowiek może zrobić ze swojej strony?... Na podobieństwo Boga opiekuje się tym co otrzymał, co tworzy i przetwarza, tym za co jest odpowiedzialny... W pierwszej kolejności opanowuje sztukę życia, rozwijając zadane mu talenty i ma tym samym szansę na



pozostawienie dobra po sobie. W Katechizmie Kościoła Katolickiego w n. 282 czytamy: „Katecheza o stworzeniu ma pierwszorzędne znaczenie. Odnosi się do samych podstaw życia ludzkiego i chrześcijańskiego, ponieważ precyzuje odpowiedzi wiary chrześcijańskiej na podstawowe pytania, jakie stawiali sobie ludzie wszystkich czasów: »Skąd przychodzimy?«, »Dokąd idziemy?«, »Jaki jest nasz początek?«, »Jaki jest nasz cel?«, »Skąd pochodzi i dokąd zmierza wszystko, co istnieje?«. Dwa pytania: o początek i pytanie o cel, są nierozdzielne. Obydwa decydują o sensie i ukierunkowaniu naszego życia i naszego działania”. Jestem mocno przekonana, że tak jak uczy katolicki Kościół, stworzony przez Boga świat i wszystko co ma służyć człowiekowi pochodzi z Jego wolnego zamyśłu miłości i mądrości. Bóg-Stwórca i człowiek-twórca to w takim razie pełna miłości relacja Osoby obdarowującej i osoby obdarowanej. Co zatem człowiek potrafi? Gdzie tkwi sens pomnażania talentów danych od Boga?... Odpowie na to sam Adam Chmielowski w swojej krótkiej i treściwej refleksji artystycznej *O istocie sztuki*. Napisał tam: „Udziałem człowieka jest siebie samego zakłąć w słowo, kamień, tony – przez to jest nieśmiertelny nawet na ziemi, nie umiera, zostaje jako przyjaciel albo mistrz dla tych co przychodzą

po nim. Szereg tych przodków moralnych to bogactwo i szlachectwo ludzkości, nitka co ją łączy z Bogiem, droga do prawdy”. Bóg jest Prawdą, jest prawdą o nas samych, że tylko w łączności z Nim żyjemy, jesteśmy i tworzymy każdą naszą indywidualną rzeczywistość. Akceptacja niezaprzeczalnego faktu, że Bóg wie najlepiej, czyni nas szczęśliwymi i spełnionymi. Bo On jest „wyższy od mojej wysokości i głębszy od mojej głębi” – zapisał św. Augustyn. Na zakończenie tych rozważań pragnę zacytować mój wiersz, życząc sobie i wszystkim nieustannego odnajdywania sensu miłości do Boga Ojca Stworzyciela.

Skąd przychodzimy?...
ze światłości przedwiecznej
z zarodka dobra
z geniuszu

Czym jesteśmy?...
światłami świata
„chodzącym” dobrem
talentem z Talentów

Dokąd idziemy?
do tej ŚWIATŁOŚCI
do tego DOBRA
do tej MĄDROŚCI NAD
MĄDROŚCIAMI

13 października 2010 roku

Promienna dobrocią i miłosierdziem

s. Michaela Faszczka

Jezu, niech nie żyję dla siebie – rozlej mą duszę na wszystkie doliny nędzy ludzkiej. Napelnij ją swoją dobrocią i miłosierdziem, i daj mi łaskę, abym Twą dobrocią i miłosierdziem zastąpiła Cię tu, na tej łez dolinie, czyniąc wszystkim dobrze¹.

Wielu z nas prosi Boga o wiele, rzeczy małych i wielkich dotyczących spraw naszego życia i doczesności. Niewielu zaś jest tych, którzy pytają, jakie są Boże pragnienia, byśmy mogli w ich realizacji uczestniczyć.

Modlitwa Błogosławionej Bernardyny „Jezu, rozlej mą duszę na wszystkie doliny nędzy ludzkiej”, została wysłuchana. Umiłowany duszy, którego w pragnieniu upodobnienia się obłubienica z gorliwością poszukiwała, wskazał jej miejsce swego ukrycia w potrzebujących bliźnich. Matka i siostra ubogich, w głębokiej więzi z Jezusem uczy się od Niego

samego być dobrą i czynić dobro innym.

„Ubodzy byli jej umiłowaniem (...) dla nich ufundowała za życia domy, im poświęcała bezsenne noce, dla nich posyłała siostry po jałmużnę na kwestę, narażając je na dotkliwe braki, niewygody, obelgi (...) wyrzucanie z domów, dla biednych (...) ubogich (...) nieszczęśliwych posyłała siostry do baraków zakaźnych, epidemicznych, wiedząc, że wiele z nich pozostanie jako ofiary obowiązku, za nich pozostawiała długie godziny na modlitwie, dla nich poświęcała swe życie”². Tak pisze o Błogosławionej naoczny świadek jej ostatnich dni życia i spowiednik, ks. Józef Matlak. Głębokie zjednoczenie s. Bernardyny z Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym Panem dokonało się nie tylko w sposób ukryty i mistyczny, ale doprowadziło do realizacji owoców tego przeobrażenia, z których pierwszy to pokorna postawa służby względem każdego człowieka, zwłaszcza ubożego, na wzór Chrystusa, miłosiernego Samarytanina. Duchowa zdolność poznawania woli Bożej pozwoliła jej właściwie odczytać pragnienie Pana Jezusa, by wszyscy ludzie zjednoczeni z Nim, przez Jego odkupieńczą miłość mierzyli jednakową miłością swoje obcowanie z Synem Bożym i bliźnimi. W ofiarnej służbie ubogim Błogosławionej chodziło nie

1 Wybór pism Siostry Bernardyny Marii Jabłońskiej, Kraków 1988, s. 27.

2 J. Matlak, *Konferencja IV o Matce Bernardynie*, (Archiwum Sióstr Albertynek), Kraków 1944, s. 5.



tylko o sprawiedliwość w uczynkach względem braci spotkanych w codziennym życiu, lecz przede wszystkim o miłosierdzie względem nich na wzór Chrystusa, który sam jest miłosierny³. Tak rozumiane i czynione przez s. Bernardynę miłosierdzie znajduje odzwierciedlenie w nauczaniu bł. Jana Pawła II. Miłosierdzie ujawnia się jako nieodzowny wymiar miłości i właściwy sposób jej realizowania wobec rzeczywistości zła istniejącego w świecie i zagrażającego człowiekowi⁴. Wszystkie akty miłosierdzia rodzą się w Błogosławionej z Bożej inspiracji.

Bóg objawia swoje miłosierdzie przez to, że zaprasza ją do miłosiernej postawy wobec własnego Syna, który „ukrywa się w cichych i ciasnych swych domkach zamknięty i jakby uwięziony”⁵. Błogosławiona Bernardyna, przyjmując duchowe dziedzictwo św. Brata Alberta, dostrzegała w każdym cierpiącym, ubogim, potrzebującym i skrzywdzonym znieważone Oblicze Chrystusa. Najgłębszym jej motywem odniesienia do bliźnich była godność człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. Stąd najważniejszy był człowiek i jego zbawienie. Za wielkie szczęście poczytywała sobie możliwość obsługi samego Pana Jezusa w osobie

ubogich. „Jaki to zaszczyt – mówiła – że Pan Jezus daje nam ubogich i pozwala nam pracować nad tymi, których tak kocha”⁶.

Zamiłowanie do miłosiernej służby ubogim i ludziom, którzy zagubili się na swojej drodze życia, nie było dane młodej siostrze od samego początku życia zakonnego. Początkowo zetknięcie się z ludzką nędzą wywołało w niej niechęć a nawet odrazę, próbowała bronić się, nawet zrezygnować z życia albertyńskiego. Dała temu wyraz żaląc się przed Bogiem: „Czego innego się spodziewałam, a co innego dałeś mi Panie”⁷. W miarę, jak – w tyglu doświadczeń na drodze wiary – dokonywała się jej wewnętrzna przemiana, stopniowo wyłaniał się przed jej oczyma obraz Chrystusa, któremu służyła w ubogich. Lata przebytych prób i doświadczeń czyniły s. Bernardynę coraz wrażliwszą na napotkane ludzkie dramaty. Prosiła nawet Boga, by obsypał jej ciało wrzodami, jak ciała ubogich. Bóg wysłuchał tę prośbę, zanoszonej u początku życia zakonnego i nie tylko nauczył ją kochać ubogich niepodzielnym sercem, ale – „wydawać by się mogło nad miarę” – obsypał jej ciało wrzodami⁸. Umiłowanie miłosiernej służby ubogim uprosiła siostra Ber-

3 Por. *Wybór pism*, dz. cyt., s. 27; por. Mt 5, 43-48.

4 Por. Jan Paweł II, *Dives in misericordia* 5.

5 *Wybór pism*, dz. cyt., s. 49.

6 J. Matlak, *Konferencja IV*, dz. cyt., s. 5.

7 *Pisma Matki Bernardyny Jabłońskiej*, ASA, luźne kartki; por. Cz. Lewandowski, *Kronika...*, ASA, s. 42.

8 J. Matlak, *Konferencja I*, dz. cyt., s. 2.

nardyna u Boga i od Niego samego uczyła się kochać tych, których nikt nie kochał. W swej bezinteresownej miłości z głęboką wiarą i zaufaniem Ojcowskiej Opatrzności szła z pomocą wszystkim nędzarzom, ludziom skrzywdzonym przez los i znikąd nie posiadającym ratunku. Siłę do pełnienia dzieł miłosierdzia czerpała z więzi z Jezusem Eucharystycznym. W jej pismach widzimy wyraźnie, jak „Jezus utajony w przybytkach ołtarzy” porywał ją, przed Tabernakulum chętnie przeklęczałaby całe życie⁹. Tajemnica eucharystyczna stała się dla niej szkołą miłości bliźniego na wzór Chrystusa, który „przeszedł dobrze czyniąc i uzdrawiając”, lecząc „wszystkie choroby i wszystkie słabości”¹⁰. Przedmiotem jej miłości był zawsze Bóg. Posługa ubogim wypływała z doświadczenia w głębi własnej duszy obecności Bożej, rodzącej dobroć, miłość i pokój. Z serca Błogosławionej przepełnionej miłością, rodziły się żywe pragnienia i zapal apostolski. Jako przełożona pouczała swoje siostry, aby ubogim, chorym i dzieciom niosły pokój i słodycz, by przez słowa, uczynki, posługę, upomnienia i rady wlewały w ich dusze pokój Jezusowy¹¹. Można powiedzieć o bł. Bernardynie, że była ikoną Chrystusa. W całym życiu, słowach

i pełnionych dziełach miłosierdzia odzwierciedlała życie Oblubieńca i do takiej postawy zachęcała siostry mówiąc: „Jak to ślicznie cicho w ślad Mistrza i Oblubieńca ciągle wstępować i swoje życie codzienne łączyć z Pana Jezusa ofiarami, pracami, cierpieniami i zasługami”¹².

Miłość s. Bernardyny do bliźnich była pełna czci i szacunku, uczynna, niezbywająca, służąca Bogu ze wszystkich sił, „wyřeczająca Opatrzność Bożą”¹³. W tym duchu też zachęcała siostry, by pielęgnując ciała ubogich troszczyły się również o dusze¹⁴. Pragnęła dopełniać pracy Jezusa, „Jego trudów, cierpień, miłości, cichości i boskich łez, a szczególnie Jego miłosierdzia nad nędzami duszy i ciała bliźnich”¹⁵.

Taka forma miłosierdzia nacechowana była pełnym radykalizmem ewangelicznym, rozlewająca duszę na wszystkie doliny nędzy ludzkiej, zastępująca Jezusa czyniącego dobrze na ziemi¹⁶.

Wyzwolona przez całkowity i bezinteresowny dar z siebie, siostra Bernardyna żyła miłością nie znającą znużenia, lecz stanowiącą owoc dynamicznego działania Boga w duszy, który ukochał ją, by poprzez nią kochać i jednoczyć ze sobą braci.

9 *Wybrane pisma Śl. Bożej Bernardyny Marii Jabłońskiej*, Kraków, s. 21.

10 B. M. Jabłońska, *Okólniki*, por. Dz 10, 38; Mt 9, 35.

11 Por. *Wybór pism*, dz. cyt., s. 48.

12 *Wybrane pisma*, dz. cyt., s. 60.

13 J. Matlak, *Konferencja I*, dz. cyt., s. 2.

14 Por. *Wybór pism*, dz. cyt., s. 49.

15 Tamże, s. 27.

16 Por. Tamże.

Polemika jest dalszym ciągiem rozmowy na temat artykułu br. Alberta Piotra Koczaja Filantruizm („Głos Brata Alberta” 72, wiosna 2013)

Z wielką radością przyjąłem polemikę z moim tekstem. Dała mi ona jedyną w swoim rodzaju okazję spojrzenia na swój tekst oczami czytelnika. To z kolei ujawniło zgrzyty w rozłożeniu akcentów. Odnosząc się do siostrzanego tekstu postaram się o lepszy wydźwięk ważnych treści.

Pierwsze – „Bądź wierny, idź!”

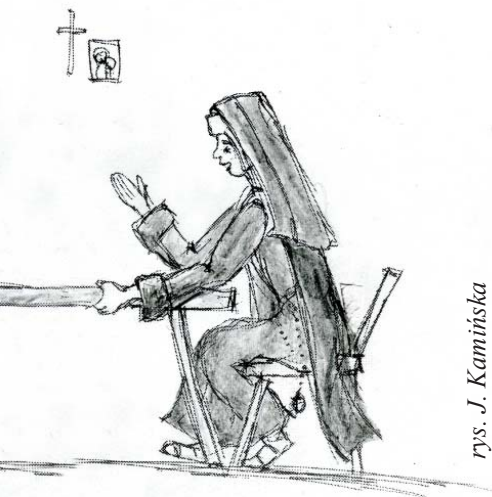
Doskwierające nam wszystkim dzieciństwo grzechu pierwotnego ciąży ku dołowi. Dociaża wszystkich, jednak od nas zależy, czy nasz kręgosłup moralny pozostanie prosty. Skolioza moralna nie jest dla nikogo stanem komfortowym, dlatego też każdy ma naturalną potrzebę profilaktyki i leczenia moralnych schorzeń, jakimi są nasze nieprawości. Potrzeba dyktowana prawem naturalnym może zostać stłumiona. Gwałt zadany własnej naturze nie obywa się jednak bez konsekwencji, stan w którym garbatego nazywamy ideałem sylwetki, jest stanem konfliktu między nami a rzeczywistością. Wewnętrzne skonfliktowanie często pcha człowieka ku „innej rzeczywistości”, malowanej toksyną, od której łatwo się uzależnić. Panaceum, jak słusznie pod-

Polemika



kreśla Siostra, jest relacja z innymi ludźmi, nierzadko bardziej biegłymi w trudzie, jakim jest życie w zgodzie z samym sobą i otoczeniem. Relacja jednak nie jest czymś co się po prostu ma, nie jest przedmiotem. Nasza postawa wobec innych ludzi musi cechować się otwartością, w mniejszym lub większym stopniu zapomnieniem o sobie. Dokonujące się w dojrzałej relacji wyjście ku drugiej osobie, ku rzeczywistości, jest najcenniejszym lekarstwem na egoistyczne ciagotki.

Potrzeba przeciwstawiania się temu co pcha w uzależnienie jest naturalna, zawdzięczamy ją Bogu. Na drodze walki ze swoim egoizmem nieocenione zdają się być relacje z innymi ludźmi. Sposób w jaki wy-



rys. J. Kamińska

chodzimy ku drugiemu zależy od nas. Dociażające nas dziedzictwo grzechu sprawia, że na drodze ku innym upadamy. Brak trudu jakim jest chęć ponownego powstania i wyjścia ku bliźnim, a nie bliżej nieokreślone *nie-szczęście*, jest przyczyną uzależnień. Toksyna niezdarnie kamufluje i umiła stan upadku w złotą klatkę własnego JA. Wszyscy chorujemy na egoizm, różnicuje nas tylko zdeterminowanie, z jakim, pomimo własnej nieudolności, otwieramy się na innych.

Drugie – „Powtarzaj wielkie słowa, powtarzaj je z uporem”

Po co pytać o *motywy własnego postępowania* z osobami bezdomnymi

skoro *każdy z nas jest pewien, że kieruje się pragnieniem dobra drugiego?* Niestety, ja nie jestem pewien czystości mojego pragnienia pomagania innym. Na ile jest ono zbryzgane potrzebą samozadowolenia, zaspokojenia emocjonalnego dyskomfortu, małodusznością czy próżnością? Z tych ludzkich i znanych każdemu ciagotek rodzi się stagnacja, zrutynienie czy brak potrzeby pozyskiwania wiedzy na temat ludzi, którym pomagamy. Teoretyczne akcentowanie potrzeb (w pytaniu: *Czego potrzebujesz?*) jest konieczne, aby uświadomić sobie stopień w jakim odbiegamy od zarysowanego ideału. Ucieczka od, nierzadko obśmiewanego teoretyzowania, niechybnie prowadzi do pozerstwa, jakim jest pomaganie bez znajomości realnych potrzeb drugiego człowieka.

Trzecie, Czwarte i Piąte – „Strzeż oschłości serca”

Swoisty antropologiczny agnostycyzm, pesymizm poznawczy, rozbrzmiewa we frazach: *Człowiek pozostaje przepastną głębiną, To co poznajemy znajduje się na powierzchni, człowiek jest tajemnicą...*

To bardzo górnolotne hasła, które są prawdziwe tylko po części. Gdy się mieszka z bezdomnymi w przytulisku nie sposób ich nie znać. Stopień poznania oczywiście jest różny, mniej lub bardziej dogłębny, jednak zwykle wystarcza, aby móc rzetelnie



pomagać. Podobnie jest w kuchni czy na furcie, gdzie kontakt jest bardziej zdawkowy, choć wystarczający by zapobiegać wulgarnemu rozpasaniu w korzystaniu z pomocy. Cały trud poznania pozostaje chyba trudem utworzenia się na drugą osobę.

„Dawać czy nie dawać” to pytanie wypychające w niekę tanich rozwiązań, unikających trudu poznania drugiego człowieka. Znamienne było, że we wspomnianym przez Siostrę sympozjum ks. Mirosław Żak mówił, że na ulicy nie udziela pomocy, gdy nie ma czasu porozmawiać z potrzebującym. Ta postawa pokazuje, że przed niełatwym procesem poznawania potrzeb nie ma sensu uciekać w tanie rozwiązania. Pamiętać warto, że dopóki nie poznamy w jakimś stopniu (stopień zależy od wielu czynników: czasu, wiedzy, doświadczenia itp.) osoby, której udzielamy dóbr, to tak naprawdę nie wiemy czy jej pomagamy.

Podsumowując, rozmiwiamy się z Siostrą w kwestii możliwości poznawczych osób pomagających. Moim zdaniem zasadnicza jest różnica pomiędzy trudem a niemożnością oraz przepastne przestrzenie w zróżnicowaniu i głębokości naszej wiedzy o drugim człowieku. Nie możemy wiedzieć wszystkiego, możemy jednak wiedzieć bardzo dużo. Podjęcie trudnego zadania jakim jest skupienie się na drugim człowieku

i jego realnych potrzebach owocuje możliwością niesienia prawdziwej pomocy.

br. Albert Piotr Koczaj

POLEMIKA – ODPOWIEŹ

Dziękuję! TAK na wszystko – prawie.

Zastrzeżenie dotyczy zdania: *różnicuje nas tylko zdeterminowanie*.

„Komu więcej dano, od tego więcej wymagać się będzie”. Te słowa Pana Jezusa rozumiem tak, że różnimy się nie tylko determinacją. Różnimy się także tym, ile komu dano – na przykład determinacji. Która zależy od nas, ale jest też łaską (choćby łaską dobrego przykładu w dzieciństwie). Nie zapomnę zdania kiedyś przeczytanego o hrabim Zamoyskim, którego sens był taki: „szedł spać pełen entuzjazmu i rano wstawał z zapalem”. Kto inny wstaje za każdym razem z bólem, że musi żyć. Start w relacji jest taki, że nie wiemy, ile i co komu dano. Nie wiemy o człowieku na tyle, by go sądzić. Co nie zwalnia z obowiązku poznawania człowieka i stawiania mu wymagań na miarę tego poznania.

s. Agnieszka Koteja

Pomoc siostry zakonnej w zakładzie karnym

s. Kazimiera Bożewska

Artykuł przygotowany na konferencję pod hasłem „Być kobietą w służbie więziennej”, która odbyła się w Akademii Ignatianum w Krakowie. Organizatorką konferencji była Katedra Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Akademii Ignatianum w Krakowie, Okręgowy Inspektorat Służby Więziennej w Krakowie oraz Areszt Śledczy w Krakowie.

Źródłem miłości jest sam Bóg, zawierzenie Mu się całkowite i oddanie Mu wszystkiego.

Już w domu rodzinnym Rodzice uczyli mnie szacunku do drugiego człowieka. Swoim przykładem uczyli, jak pomagać drugiemu. Brat Albert nauczył, że drugi człowiek, nawet najbardziej zagubiony, największy nędzarz moralny nie przestaje być dzieckiem Boga. Opuszczony, zamknięty, zakratowany, zostaje sam ze swym grzechem, ze swą winą... Bandyta! To słowo zawsze mnie rani, kiedy je słyszę. Ten człowiek kiedyś był małym dzieckiem, kochanym, niewinnym... kto sprawił, że stał się zły?!



Gdy jest mróz, zimno, życie zamiera. Każda roślina, każdy kwiat i każdy człowiek do swego rozwoju potrzebuje ciepła i troski. Rodzice często zagonieni, zapracowani nie zauważają, że ich dziecko umiera duchowo... bo pieniądz to nie miłość. Gdy nagle stają przed dylematem, często mówią: *To nieprawda! To niemożliwe, żeby mój syn... moja córka to zrobiła!* I pytanie: **DLACZEGO?!!!**

Kiedy ktoś się znajdzie w zakładzie karnym to bywa często, że rodzina nie chce mieć kłopotu z wymiarem sprawiedliwości, czasem po prostu nie radzi sobie. Żona czuje się pokrzywdzona, wszystkie kłopoty nagle spadają na jej ramiona, a jeszcze odwiedzać? Przynosić paczki? Łatwo więc przyjmuje „zastępczego partnera”.

Czy kontakt siostry zakonnej z osadzonymi, czy rozmowy, współpraca z nimi jest łatwa?



Habit – choć też mundur – pomaga nawiązać kontakt, choć różnie to bywa. Przeważnie osadzeni są nieufni, podejrzliwi.

Łatwiej jest nawiązać kontakt, a później współpracę z osadzonym, gdy sam poprosi o taką rozmowę. W ogóle jest to bardzo długi proces. Najpierw trzeba zdobyć zaufanie, następnie doprowadzić do tego, by przyznał się do winy przed sobą – najczęściej uważa się za niewinnego albo jest to częściowe przyznanie się do popełnienia jakiegoś błędu; następnie otworzyć oczy i serce na popełnione zło i pokazać, że to zło przeszło także przez niego i go zraniło. Następnym etapem jest pojednanie się ze sobą, z Panem Bogiem; dopiero na końcu nawiązanie kontaktu z krzywdzonymi, z rodziną.

Mój kontakt z osadzonymi rozpoczął się 1991 r. Pracowałam wówczas na Śląsku, prowadziłyśmy tam dom dziennego pobytu dla małych dzieci i tzw. SOS doraźnej pomocy dla dorosłych. Pewnego razu siostra pielęgniarka miała zlecone iniekcje. Przez dwa dni nie udało się jej odnaleźć wskazanego adresu, wstąpiła więc do przypadkowego mieszkania w bloku, by zasięgnąć informacji. Był tam starszy pan, sam. Po uzyskaniu informacji zagadnęła go pytając, czy nie ma rodziny, dlaczego jest sam. W odpowiedzi usłyszała, że owszem, ma syna, ale jest on

w więzieniu: „Wyrzekłem się go, bo nie chciał mnie słuchać i ma to na co zasłużył”. Siostra po powrocie do domu opowiedziała nam wszystko, bardzo przejęta całą tą historią. Wspólnie postanowiłyśmy, że któraś z nas odwiedzi tego człowieka w więzieniu. Los padł na mnie. Przyznam się, że to moje pierwsze wejście za kraty do obcego człowieka nie było łatwe.

Młody, 20-letni, butny, pewny siebie chłopak był bardzo zaskoczony moją wizytą. Pamiętam, że powiedziałam mu, że „u Pana Boga nie ma przypadków, a po co mnie do pana przysłał, to musi sobie pan sam odpowiedzieć”. Po godzinnej wizycie podałam mu swój adres, jeśli by chciał napisać. Został skazany na 25 lat za zabójstwo. Napisał, odwiedziłam go i tak rozpoczął się trwający 15 lat trudny okres pracy.

Były rozmowy, listy; trudno go było przekonać do pracy nad sobą, do kształcenia się. W tym zakładzie karnym była możliwość ukończenia szkoły średniej, ale on twierdził, że to nie jest mu potrzebne, on sobie w życiu da radę. Na *widzenia* jeździłam autobusem, nie miałyśmy samochodu i nie było łatwo pokonać te 45 km, bo połączenia były kiepskie. Czas na rozmowy nie był długi; o pracy nad sobą, nad charakterem, o konieczności wykształcenia, by czas młodości przeżywać z pożytkiem dla siebie,

by ten czas nie był stracony, trzeba było przekonywać w listach.

Stopniowo zmieniała się jego mentalność. Muszę przyznać, że choć nie raz kosztowało go to dużo, zmieniał swoje zapatrywania. Podjął naukę, a ja po skończeniu liceum i zdaniu matury nie dałam mu spocząć na laurach. Oczywiście pochwaliłam i cieszyłam się jego osiągnięciami, ale zachęcałam do podjęcia studiów.

Trudna decyzja. Skazany nie ma możliwości załatwienia czegokolwiek osobiście poza murami, nie ma możliwości załatwiania wszystkich formalności związanych z przyjęciem na uczelnię.

W tym czasie zostałam przeniesiona do pracy w Krakowie. Odległość się więc powiększyła, trudno mi było dojeżdżać. Podpowiedziałam, żeby sam napisał prośbę o przeniesienie bliżej Krakowa. Prośbę uwzględniono, ale trzeba było od nowa drążyć temat. Po kilku rozmowach zdecydował się jednak na studia, choć sam nie wierzył w taką możliwość.

Najpierw udałam się do Dyrektora Z. K. z prośbą o uzyskanie możliwości podjęcia studiów zaocznych dla osadzonego. Były oczywiście różne obawy, kłopoty, ale w końcu zaufano mi i uzyskałam zapewnienie, że będzie taka możliwość. Następnie poszłam na Uniwersytet Jagielloński do dziekana. Przedstawiłam mu cały problem, prosząc

o możliwość podjęcia studiów na Uniwersytecie przez skazanego. Oczywiście prosiłam o dyskrecję, chodziło mi o to by nie musiał na oczach wszystkich dźwigać swego piętna, choć i tak go dźwigał.

W zakładzie karnym, w którym teraz przebywał, otrzymał pracę w radiowęźle. Miał więc parę złotych na osobiste wydatki, a ja korzystałam z możliwości nadawania krótkich katechez. W końcu udało się uzyskać zgodę na studiowanie i na możliwość korzystania z przepustek. Rozpoczął się więc pięcioletni trud.

Trzeba było przyjeżdżać pod Zakład, odbierać na zajęcia i odprowadzać z powrotem. Załatwiać na bieżąco wszystkie formalności, książki, pomoce, ubrania itp. Wiele trudów trzeba było pokonać, bo przecież miałam pracę i swoje obowiązki zakonne.

Po trzech latach studiów on był już zmęczony, chciał przerwać studia. Całe wakacje był to więc czas tłumaczenia, czas modlitwy, czas trudnych rozmów, ale udało się. Podjął dalszy wysiłek studiów aż do obrony magisterium. Ukończył socjologię, bo jak twierdził „chciałby kiedyś pomagać innym, by spłacić dług wdzięczności”.

Czas studiów był też czasem przygotowania się do wyjścia w społeczeństwo. Kształtowanie umysłu, woli i radość osiągnięcia czegoś do-



brego dawało zadowolenie i było chęcią do dalszej pracy nad sobą.

Kiedy okazało się, że będzie możliwość wcześniejszego zwolnienia z odbywanej kary, nowe trudności stawały na drodze.

Znaleźć mieszkanie, znaleźć pracę. Pracodawca poszukuje doświadczonego pracownika, a gdzie osadzony ma zdobyć doświadczenie przed podjęciem pierwszej pracy? Zdawałam sobie sprawę z trudności, ale dzięki pomocy Bożej i dobrych ludzi i to można było pokonać.

To wszystko dzięki wysiłkowi wielu osób, a przede wszystkim samego studenta. Dziś już jest wolnym człowiekiem, dobrym mężem i ojcem wspaniałego synka.

Wiele osób czeka na taką pomoc, bo sami zamknięci, odizolowani nie mają możliwości, nie mają dość siły do pokonywania codziennych trudności, a wiele osób młodych, wartościowych, ale zaniedbanych mogłoby naprawić swoje błędy, a czasem i cudze. Ważne jest, z jakim бага-

żem opuszczają zakład karny wracając do społeczności: czy z багаżem żalu, nienawiści i jeszcze większego zła, czy z багаżem dobra.

Bóg nie rezygnuje z nikogo, każdy człowiek jest Jego ukochanym dzieckiem. W rozmowach z osadzonymi, nawet zabójcami odkryłam, że ten wielki dar Bożego dzieciństwa tli się w ich duszach.

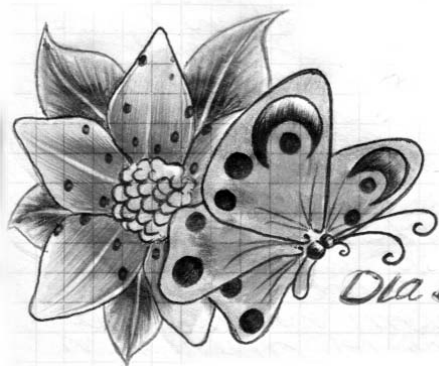
Obecnie w więzieniu przy ul. Montelupich prowadzę przez radiowęzeł krótkie pogadanki na różne tematy, najczęściej religijne. W okresie Wielkiego Postu w każdy piątek staram się prowadzić rozważanie Drogi Krzyżowej, nawiązujące do ich sytuacji życiowych.

Jakie i ile to przynosi owoców w ich duszach, wie tylko Bóg. Często w naszej zakonnej kaplicy modlimy się za osadzonych, a modlitwa to siła, sięgająca do samego Boga.

Bóg przebaczy każdemu, udowodnił to nam na Krzyżu. Każdy z nas potrzebuje Bożego Miłosierdzia i Bożego przebaczenia.

Modlimy się wraz ze św. Bratem Albertem: „Patrząc na Jezusa w Eucharystii, czyż Jego miłość mogłaby obmyślić coś piękniejszego? Skoro jest chlebem i my bądźmy chlebem. Skąpy jest ten, kto nie jest jak On. Dawajmy siebie samych”.

Rysunki z listów osadzonego NN.



*Dla Drogiej Siostry
ALBERTYNI*

Droga krzyżowa osób bezdomnych

opr. Piotr Kuśmider

Pomysł drogi krzyżowej z medytacjami osób bezdomnych powstał prawie trzy lata temu. Wszystkie refleksje, które zostały spisane, powstały podczas indywidualnych rozmów z mieszkańcami schroniska dla bezdomnych im. św. Brata Alberta w Gorzowie. Podczas swoich dyżurów często spotykałem się z nimi indywidualnie lub w grupach gdzie, poruszaliśmy różnego rodzaju tematy. Klimat takich spotkań jest zawsze czymś wyjątkowym, bardzo często odbywają się one wieczorem, kiedy pracownik oraz mieszkaniacy schroniska mają już trochę czasu, aby sobie porozmawiać. Relacja, w której dochodzi do szczerzej rozmowy, zawsze niesie ze sobą możliwość wejścia w najbardziej intymne, osobiste tęsknoty, refleksje. Tak właśnie rodziła się nasza Droga krzyżowa; może właśnie dlatego miała tak silne oddziaływanie na uczestników.

STACJA I PAN JEZUS NA ŚMIERĆ SKAZANY

Wiele razy zabierałem głos w różnych sprawach, wiele razy oskarżałem innych nie mając do tego żadnego prawa, wiele razy kłamałem mówiąc o innych. Moje wyroki bardzo bolały inne osoby.

Całe moje życie, od kiedy piję, to wydawanie wyroków, potępiających lub obwiniających, w których zawsze jest ktoś inny winny.

Lubię rozmawiać z Bogiem, mam wrażenie że mnie słyszy, opowiadam wtedy o swoich problemach, o moich kłopotach.

Umywanie rąk czyli nie branie odpowiedzialności za nic: w pracy w rodzinie przy dzieciach. Od wszystkiego. Ktoś robi, ktoś załatwi, ktoś się wyleczy za mnie, ta praca nie – bo za daleko, ta za ciężka. Aby nie umywać rąk za często potrzebna jest odwaga i wyznaczony cel – proszę Cię, Jezu, o odwagę i wytrwałość.

Umycie rąk to nieplacenie alimentów, bo państwo, bo praca, bo wszystko... przepraszam Cię, Jezu.

STACJA II PAN JEZUS BIERZE KRZYŻ NA SVOJE RAMIONA

Bierzesz, Panie Jezu, krzyż na swoje ramiona. Jest to dla mnie wzór, aby przetrwać ciężkie chwile w moim życiu, by mieć siłę nie myśleć o problemach i cieszyć się chwilą obecną.

Przepraszam Cię, Panie, że był czas kiedy wstąpiłem na złą drogę w moim



życiu, osiągnąłem całkowitego dna – ciągle upadki; żadnej nadziei, znalazłem się na krawędzi mojego życia.

Proszę, abym małymi krokami doszedł do zaplanowanych celów.

Bardzo chciałbym porozmawiać z moim synami, których już bardzo długo nie widziałem.

Od dwóch lat nie piję, jest to jeden z większych sukcesów w moim dotychczasowym życiu. Oby tak dalej.

STACJA III PAN JEZUS UPADA POD KRZYŻEM

Moim upadkiem, który pamiętam do dziś, była kradzież rowerka dla dzieci, starsza Pani krzyczała przez okno: *zostaw Pan rower bo kupiłam go z renty!* – do dziś słyszę ten głos. Proszę o ludzi, którzy pomogą mi powstać z moich upadków; bez pomocy drugiej osoby nie dam rady. Złość i bezsilność – to dzięki nim upadam najczęściej, a potem wielkie poczucie beznadziei.

W ciągu ostatnich trzech lat niewiele udało mi się osiągnąć, wciąż zaczynam od nowa i tak trwa codziennie do dziś. Straciłem dużo – zyskałem niewiele; proszę o silną wolę, samozaparcie oraz siłę przebicia potrzebną osobie bezdomnej.

STACJA IV PAN JEZUS SPOTYKA SWOJĄ MATKĘ

Pamiętam płacz matki: *nie wychodź synu z domu, bo się znowu napijesz.*

Panie, proszę Cię, pozwól mi jeszcze

pojechać do mojej matki.

Pozwól mi, Panie, spotkać się jeszcze raz ze swoją rodziną, ponieważ odeszliśmy wszyscy od siebie bardzo daleko.

Jedynym autorytetem dla mnie była nieżyjąca matka, umiała mną pokierować i robiła to tak, że zawsze mi wszystko wychodziło – aż do chwili śmierci, potem wszystko się zawaliło.

Gdy była mama wtedy wszystko było jasne.

Nauczyłem się gotować, bo jak byłem mały podpatrywałem mamę w kuchni.

Mama była jedyną osobą, która pisała do mnie, jak byłem w więzieniu.

STACJA V CYRENEJCZYK POMAGA NIEŚĆ KRZYŻ PANU JEZUSOWI

Tylu ludzi pomagało mi w moim życiu, dziękuję za każdego człowieka, za każdą wyciągniętą do mnie dłoń.

Jestem bezdomnym słabym człowiekiem, ale bardzo lubię pomagać innym. Obym miał zawsze komu pomóc.

Ważne jest, aby w życiu spotkać osobę, do której ma się zaufanie, wtedy walka z nałogiem jest o wiele łatwiejsza.

Bez pomocy drugiej osoby nie jestem w stanie pokonać barier urzędowych.

Nie ma możliwości wyjść z nałogu bez pomocy innych osób.

Bardzo często pomagam iść koledze, któremu obcięto nogę, może kiedyś mi ktoś pomoże – też piję.



STACJA VI WERONIKA OCIERA TWARZ PANU JEZUSOWI

Pozwól mi, Jezu, być tak odważnym jak Weronika, chcę się wreszcie przełamać i poprosić o pomoc, bo sam już nie daję sobie rady.

Wiele razy ktoś mi pomógł, ktoś mi otarł twarz, dziękuję teraz tym wszystkim dobrym ludziom.

Kiedy jestem w ciągu i piję trzy miesiące, to alkohol mi nie smakuje, wszystko mnie boli, wymiotuję, i wtedy albo ktoś mnie zawiezie do szpitala albo stracę przytomność i zrobi to policja.

Najgorsze są nocne wyjścia do miasta i szukanie sklepu nocnego, kiedy człowieka telepie, jest mu zimno, ma dreszcze, zbiera na wymioty, ale choroba każe kupić nalewkę i wypić a wtedy na krótko wszelkie dolegliwości miną i może zasnąć. Proszę w tej stacji, aby takich nocnych wyjść było w moim życiu jak najmniej.

Kiedy przestanę pić muszę dużo chodzić w tą i z powrotem w tą i z powrotem, targają mną silne nerwy, jestem chudy jak patyk, w ciągu alkoholowym prawie nic nie jem.

STACJA VII PAN JEZUS UPADA PO RAZ DRUGI

Panie Jezu, w swoim upadku ulecz mnie z choroby alkoholowej.

Zawsze upadam przez alkohol, następne upadki są tylko konsekwencjami tego, że piję.

Kiedyś podczas wspólnego spotkania, kiedy kolega zasnął okradłem go, potem przeprosiłem za to co zrobiłem, chociaż bardziej przed strachem zemsty niż z poczucia winy. Wiele krzywd, które wyrządziłem innym ludziom, było spowodowane chęcią zdobycia pieniędzy na alkohol.

Rozmyślając nad drugim upadkiem Pana Jezusa zawsze przypominam sobie dzień, w którym wyszedłem z szpitala tzw. odwyku; pierwsze co zrobiłem to poszedłem do sklepu, kupiłem małą buteleczkę wódki i wypilem duszkiem.

Od trzech lat nie piję, obym nie upadł.

Wchodząc do sklepu muszę naprawdę stoczyć z sobą walkę, abym nic nie ukradł a kradłem tylko tanie piwo.

STACJA VIII PAN JEZUS POCIESZA PŁACZĄCE NIEWIASTY

Nie płaczcie nade mną, tylko nad dziećmi waszymi. O tak, Jezu, bardzo mocne i celne słowa.

Może właśnie przestać płakać nad kimś tylko stanąć prosto i wziąć się wreszcie za siebie. Płacz – ludzka rzecz, trzeba pozwolić się człowiekowi wypłakać, ale potem trzeba mu pomóc iść dalej.

Tyłu już ludzi płakało nade mną: mama, ojciec, żona, dzieci... chcę wreszcie coś zmienić.

Alkohol zniszczył mój system nerwowy, szybko się wzruszam, często mam łzy w oczach.



STACJA X PAN JEZUS Z SZAT OBNAŻONY

W moim życiu wiele razy pozbawiony byłem wszelkich zahamowań. Przepraszam Cię, Panie.

Moja ambicja wiele razy prowadziła mnie na manowce, co kończyło się piciem alkoholu.

Oddaję Tobie, Panie, chwile w których zatraciłem wszystkie walory człowieczeństwa.

Obym już nigdy nie okradł najbliższej rodziny, okradałem nawet swoje dzieci. Proszę, Panie, o pokorę tak bardzo potrzebną w życiu.

W chwili obecnej potrzebuję samopazarcia.

Z mojego kłamstwa bardzo często rodziła się nieczystość. Panie, daj mi siły, abym odszedł od wszelkiego brudu.

Po wpływie alkoholu zmieniam się, zarobione pieniądze wydaję bez refleksji, spełniając każdą zachciankę, potem żałuję tego wszystkiego, czego się dopuściłem. Kac moralny, psychiczny jest większy i bardziej bolesny od kaca fizycznego.

STACJA XI JEZUS DO KRZYŻA PRZYBITY

Panie, jesteś dla mnie autorytetem, próbuję Cię poznać, chcę Cię zrozumieć umysłem trzeźwym, bez używek.

Kiedy człowiek wypije kieliszek, potem drugi, trzeci, i potem już idzie dzień, tydzień, miesiąc, pół roku, to mój udział w krzyżowaniu.

Kiedyś słyszałem, że w chwilach trudnych, załamania, opuszczenia, samotności, dobrze jest kontemplować Jezusa na Krzyżu. Zacząłem praktykować tę metodę, jest ciężko ale pomaga, czerpię siły.

Wziąć swój krzyż, jak uczył Jezus... to stanąć w prawdzie i powiedzieć: *tak, jestem alkoholikiem; tak, jestem bezdomny* – a wtedy człowiek zyska siły. Tylko prawda, a wiemy że iluzje i zaprzeczenia w tej chorobie to chleb powszedni.

STACJA XII PAN JEZUS NA KRZYŻU UMIERA

Panie Jezu, umierasz za mnie, ja jednak żyję i chcę żyć – nie chcę się więcej odwracać od Boga.

W tej stacji proszę Cię, Panie, o nadzieję, że kiedyś powrócę do mojej rodziny.

Proszę Cię, Panie, abym już nigdy nie wszedł na drogę przestępstwa.

Panie umierający na krzyżu, w moim życiu jestem w momencie, w którym trudno mówić o planach na przyszłość, proszę o siłę.

Kilka razy byłem bliski śmierci, trzeba spaść na dno, aby się odbić – tak mało nauczyły mnie te doświadczenia... Proszę, Panie, o łaskę odwagi i wytrwałości.

Kiedyś w zimie zasnąłem w pociągu stojącym na bocznicy, obudziłem się z zimna, mróz był bardzo silny, z trudem doszedłem na stację, jak się doczepiłem do grzejnika to myślałem



że go wyrwę ze ściany, byłem bliski śmierci.

Kiedyś w Boże Narodzenie widząc szczęśliwych ludzi idących do swoich rodzin myślałem o śmierci... Proszę, Panie, o siłę.

STACJA XIII PAN JEZUS Z KRZYŻA ZDJĘTY

Ojcie, pociesz również mnie w moim płaczu, w prośbach które zanoszę bardzo często do Ciebie. Panie, jesteś dla mnie ostatnią nadzieją, ostatnim pocieszeniem.

Wiem, że już nie cofnę przeżytego życia, ale proszę w tej stacji o nadzieję na przyszłość, w chwili obecnej jak sądzę jestem na dnie.

Gdybym mógł tylko cofnąć czas, to bym nigdy nie opuścił domu – proszę o siłę, abym mógł zacząć wszystko od nowa.

Pomóż mi, Panie, zobaczyć we mnie dobro, przecież też posiadam jakieś zdolności... Pomóż mi dostrzec moje cechy pozytywne.

Proszę o pomoc i siłę w relacjach z córką.

Bardzo chciałbym poznać ludzi, z którymi będę mógł spędzić wspólnie czas – ale nie kolegów od „butelki”, mam już dosyć takiego życia.

Żałowanie, tyle razy się żałowałem – wtedy potrzebny jest drugi

człowiek, aby pojawił się w najbardziej odpowiedniej chwili – sam sobie nie poradzę.

STACJA XIV PAN JEZUS DO GROBU ZŁOŻONY

Bóg to dla mnie istota duchowa, to ktoś kto ma pieczę nad całym światem, to ktoś kto stara się utrzymać ludzkość i nie tylko ludzkość w jakimś porządku. Grób jest symbolem, z którego Bóg wyprowadzi wszystkich.

W tej stacji myślę o papieżu Janie Pawle II.

Wszystko ma swój początek i koniec – moje życie również kiedyś się skończy.

Czuję się człowiekiem mało odpornym psychicznie, proszę o siłę i wiarę.

Codziennie wieczorem paląc papierosa przed schroniskiem myślę o jednym: jak szybko lecą kolejne dni mojego życia, jak szybko leci czas... czas, z którym muszę coś wreszcie zrobić.

Nie rozumiem do końca tego misterium, tego nabożeństwa, całego Wielkiego Tygodnia, ale wierzę w Ciebie, Jezu.

W tej stacji chcę wspomnieć wszystkich bezdomnych, którzy mieszkali w naszym schronisku, już nie żyją a my odwiedzamy ich groby, jesteśmy jedynymi którzy pamiętają o grobach tych ludzi.

Piotr Kuśmider, wiceprezes Koła Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta w Gorzowie, z Towarzystwem związany od 1995, z wykształcenia psycholog. Jeżeli ktoś chciałby się podzielić refleksjami na temat medytacji do poszczególnych stacji drogi krzyżowej, proszę o kontakt mailowy: kus7@o2.pl.

Werchrata

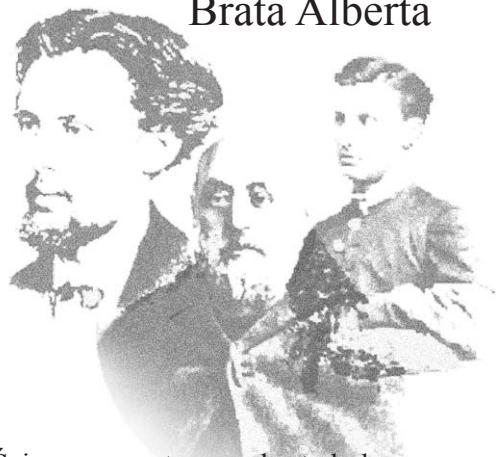
Elżbieta Dębicka

W roku 1889 mój ojciec kupił majątek Werchrata w powiecie Rawa Ruska. W rozległej parafii znajdowały się trzy cerkwie obsługiwane przez jednego tylko księdza, staruszką X Pliszkievicza. W każdą niedzielę kolejno nabożeństwo odbywało się w innej cerkwi: w Werchracie, na Monasterku i w Prusiu.

Cerkiew w Monasterku stała na górze, skąd rozległy widok sięgał poza ówczesną austriacką granicę, aż hen na stronę rosyjską. U stóp Monasterka w głębi boru sosnowego ukrywała się mała kapliczka, miejsce pobożnych pielgrzymek i dorocznego odpustu. Według miejscowej legendy Matka Boska miała się w borze ukazać pastuszcze i zażądać od niej paciorków. Dziewczynka nie zrozumiała i sądziła, że piękna pani prosi ją o paciorki wiszące na szyi, więc wymówiła się tłumacząc, że to matczyne paciorki. Na pamiątkę tej legendy włościanie postawili kapliczkę, gdzie rok rocznie odbywały się nabożeństwa i procesje.

Sama cerkiewka w Monasterku, drewniana staruszczenka w typowym stylu starych cerkiewek drewnianych z podsieniami jakie się jeszcze spotyka w Małopolscy Wschodniej.

...mniej znane
wydarzenia z życia
Brata Alberta



Ściany wewnętrzne pokryte były nawiwnymi malowidłami na tematy wyjęte z Apokalipsy.

Miejscowa ludność, Rusini grecko-katolickiego obrządku, ubierała się całkiem na białe w lniane płótnianki własnego wyrobu. Daleko było do szkoły, a nabożeństwa w cerkiewce z kazaniem raz na trzy tygodnie.

Tu w tym bardzo prymitywnym otoczeniu, u stóp góry, Brat Albert założył nowicjat, który był równocześnie letniskiem i miejscem wypoczynku dla chorych braci.

Obejście klasztorne składało się z kilku chałup słomą krytych i ogrodu okolonego płotem z chrustu. Niczym się nie różniło od prymitywnych zagród miejscowej ludności.

Wybrane miejsce dawało ciszę, spokój, cudowny widok z góry na dalekie równie, powietrze przesycone zapachem żywicy.

Brat Albert miał jednak głębszą myśl, gdy tu osadzał swych braci. Chciał aby bracia mieszkając daleko od księdza i szkoły świecili włością przykładem życia chrześcijańskiego. Ponieważ w Monasterku nabożeństwa odbywały się raz na trzy tygodnie, więc bracia musieli w inne niedziele iść na piechotę do Werchraty około 6 km. lub do Prusia około 8 km.

Bracia paśli barany, uprawiali rolę. Pouczali miejscowych chłopów o prawdach wiary, czytawali im żywoty świętych. Proboszcz powierzył braciom klucz od cerkiewki, z jego pozwoleniem urządzali tam nabożeństwa majowe i różańcowe w październiku, na które się licznie schodzili miejscowi ludzie. Przełożonym klasztoru był brat Bernard, unita z Podlasia. Podczas prześladowań unitów, przekradł się był przez granicę do Krakowa i zaciągnął się w szereg tercjarzy. Był to poważny, dostojny gospodarz. Stale przebywał jako kuracjusz brat Witalis, góral z Podhala. Anielska dusza w prześwieatlistym ciełe. Paliły się ogniem mistycznym wielkie czarne oczy, zapadnięte w głąb pod ostrym kantem czoła. Był i brat Józef, inteligent, dr filozofii, czytający Konfucjusza po chińsku i tłumaczący z oryginału poezje św. Teresy i św. Jana od Krzyża.

Z tym bratem Józefem niemało miał kłopotu Brat Albert, gdyż dziwne nie pasował do franciszkańskiej prostoty braci tercjarzy.

«On ta do niczego nie zdatny, to niech sobie pisze», zauważył brat Bernard, gdy raz podczas naszej bytności brat Józef pobiegł do chaty poszukać starych ksiąg, by nam je pokazać.

I rzeczywiście, że był do niczego nie zdatny. Posłał go raz brat Bernard paść owce, to je pogubił po lesie. Za drugim razem trzeba było dodać drugiego brata do pomocy. Na pastwisku podeszli do braci pastuchy prosząc:

„Niech nam bracia co ładnego przeczytają”.

Zawstydził się brat Józef bo miał tylko Konfucjusza. Lecz drugi brat wyjął z kieszeni żywoty świętych i zaczął lekturę.

Wewnętrzne urządzenie chałup tercjarzy, miało jako jedyne meble tapczany, nic więcej. Bracia do posiłków siadali na ziemi.

„Czy to reguła zakazuje mebli?” spytała Brata Alberta jedna z pań, którąśmy do Monasterku zawieźli.

„Nie — uśmiechnął się Brat Albert — tylko nie mamy ani czasu ani pieniędzy, aby sobie meble zrobić, mamy dużo ważniejsze rzeczy do roboty niż meble i te nam po prostu na myśl nie przyszły”.

W tej prostej odpowiedzi tkwił rys bardzo charakterystyczny Brata Alberta. Nie szukał sztucznych umartwień, ale z wielką prostotą przedkładał ważniejsze rzeczy nad potrzeby codziennego życia. Myśl jego w Monasterku zaprzątnięta była zaprawianiem nowicjuszy do życia franciszkańskiego. Wybrał Brata



Bernarda, aby ten Podlasiak unita, pouczał miejscowych Rusinów unitów o świętości wiary katolickiej i uświadomił ich co do różnicy między grecko-katolicką religią, a prawosławiem... Nie miał czasu myśleć o meblach.

A posiew jego myśli kierujących pracami braci okazał się w pełni, gdy w roku 1914 chłopci Werchracy murem żywym otoczyli cerkiew i nie dopuścili popa prawosławnego, który w asyście zwycięskich wojsk rosyjskich chciał w cerkwi odprawić prawosławne nabożeństwo.

Z początku w Bruśnie, później zaś we dworze w Prusiu był klasztor sióstr tercjarek. Choć dwór ten był bardzo skromnym, można go było nazwać pałacem w porównaniu do chałupek braci w Monasterku. Urządzenie wewnętrzne równie ubogie jeżeli chodzi o cele sióstr; tapczany, nic więcej. Lecz oszklona weranda przytykała do domowej kaplicy urządzonej we wejściowym pokoju obok jadalni gościnnej, tu, wielkie zbytki! duży stół i kilka krzeseł.

W każdy czwartek przyjeżdżał do Prusia proboszcz łaciński z Potylicza i odprawiał mszę w kaplicy sióstr. Przygodnie bywali i inni księża, pamiętam O. Pydyńkowskiego T.J., X Prałata Karola Krementowskiego z Przemyśla. Na tę Mszę łacińską zjeżdżaliśmy wszyscy w Werchraty: moi rodzice, my, a było nas siedmioro, oficjaliści i domownicy nasi. Kołami i konno, jak kto mógł tak spieszył, bo to nie

lada była radość dla nielicznych łacinników mieć sposobność wysłuchania mszy w swoim obrządku tak blisko. Rawa Ruska i Potylicz gdzie znajdowały się kościoły łacińskie były oddalone o trzy mile od Werchraty. Brat Albert przyjeżdżał z Monasterka swą dwukołową biedą i siwą szkapiną. Z powodu swego kalectwa nie mógł jak jego bracia iść piechotą tyle kilometrów.

Wybór czwartków jako dni przeznaczone dla wysłuchania mszy i przystąpienia do Sakramentów we własnym obrządku, był wynikiem głębokiego przemyślenia ciężkiego dylematu miejscowego. Zarówno Bratu Albertowi jak i memu ojcu chodziło o dwie kwestie zasadnicze. Były to kwestie religijne i narodowe.

Z punktu widzenia religijnego chodziło o afirmowanie jedności obrządków w jednej mierze katolickiej i oddziaływanie na Rusinów Werchraty, Monasterku i Prusia uświadamiające, aby ich ustrzec przed szerzącą się propagandą prawosławia, idącą via konsulat rosyjski we Lwowie. Pocziwy nasz starszuch proboszcz Grecko-katolicki miał po tamtej stronie kordonu, na Chełmszczyźnie szwagra popem prawosławnym. Różne dary jak piękne mszały i rekwizyta liturgiczne napływały z konsulatu we Lwowie. A że ta propaganda była bardzo silna w całej Galicji Wschodniej wykazał rok 1914 gdy podczas

parumiesięcznej inwazji rosyjskiej trzysta parafii grecko-katolickich przeszło na prawosławie.

Afirmacją jedności wiary katolickiej obu obrządków było to, że w niedzielę bracia, siostry i cała nasza rodzina stale chodziliśmy na Mszę grecko-katolicką do cerkwi. Dzięki temu bracia i siostry mogły katechizować, urządzać majowe nabożeństwa, uczyć różańca i oddziaływać religijnie i oświatowo na te trzy tysiące dusz. Wpływ ten był silny i przenikliwy pod względem religijnym, czego najlepszym dowodem była obrona cerkwi w r. 1914 przed Rosjanami przez chłopów Werchrackich. Nie był bez znaczenia pod względem politycznym i społecznym. Agitacje Ukraińskie rozbiły się bezsilnie. Z obcej parafii przyjechał Ksiądz prowodyr i w kazaniu judził na „Lachiw”. Chłopi Werchraccy wychodzili z cerkwi kiwając głowami: „Ten ksiądz złe mówi”. Naokoło, za czasów rządu Namiestnika Pinińskiego wrzało od strajków rolnych i rozruchów. U nas w Werchracie nie tylko, że był spokój i ręką podostatkiem podczas żniw, ale w czasie dożynków cała wieś zebrana we dworze odśpiewała przed gankiem „Mnohaja lita naszemu hrablu!” Gdy w roku 1904 mój ojciec postanowił sprzedać majątek, chłopci wybrali się w deputacji do swego proboszcza prosząc, by napisał do mego ojca że „Jeżeli potrzebuje pieniędzy to się gmina złoży i pożycz, bo nie chcą by ich

hrabia opuścił”. Może przeczuwali, że nowonabywca w pierwszym rzędzie zlikwiduje oba klasztory. Wolę nazwiska nie wymawiać, ale ten pan, Polak i katolik zażądał od Brata Alberta by te kilkanaście morgów zajętych na obejście klasztorne zakupił. Sprzeciwiało się to zasadzie tercjarzy nie posiadania własności, więc Brat Albert opuścił Monaster i Prusie. Również ważnym był moment narodowościowy. Była obawa by w tej czysto ruskiej wsi, nieliczne rodziny polsko-łacińskie nie uległy zruszczeniu w skutek wielkich odległości do własnych parafii. Nabożeństwa czwartkowe dawały stały kontakt proboszczowi łacińskiemu z Polakami i możliwość udzielania im Sakramentów w łacińskim obrządku.

Tak więc działalność obu klasztorów była równocześnie ochroną dla Rusinów przed prawosławiem, a Polaków przed zrusyfikowaniem, była też łącznikiem i czynnikiem zgody. Problem tak skomplikowany i zastrzony w dzisiejszych czasach, był wtedy już troską Brata Alberta, tego wielkiego katolika i Polaka zarazem. Na terenie Werchraty szukał rozwiązania w miłości chrześcijańskiej.

Elżbieta Dębicka, *BRAT ALBERT przez pryzmat dzieciennych wspomnień*, Warszawa 1939, s. 11-19.



Adam Chmielowski w Powstaniu Styczniowym 1963 roku

Relacja ks. Cz. Lewandowskiego CM na podstawie wspomnień Brata Alberta, w: *Żywot Brata Alberta*, odpis z rękopisu pośmiertnego.

Niektóre zdarzenia podczas powstania tragicznie zakończone, głęboko utkwiły w duszy Adama, np. rozstrzelanie przez powstańców niejakiego Iskry, wodza oddziału powstańczego. Iskra był postrachem dla okolicy, którą przechodził, bo gnębił obywateli ziemskich rekwizycjami niedozwolonymi, dopuszczał się gwałtów i miał na sumieniu niejedną krzywdę. Rząd narodowy powiadomiony o tym, skazał go na śmierć przez rozstrzelanie, co też wykonano. Oddział żołnierzy otoczył Iskrę w lasku, odczytano mu wyrok śmierci za różne zbrodnie. Nieszczęśliwy Iskra mężnie ów wyrok przyjął, prosił tylko, aby parę słów mógł przemówić do żołnierzy, na co mu pozwolono. Nadspodziewanie, na śmierć skazany Iskra pięknie do żołnierzy przemówił żałując za to, iż chociaż Ojczyznę kochał, to przecież tę miłość splamił niecnymi czynami: „Wy towarzysze broni bądźcie dobrymi synami Ojczyzny, mnie w

złym nie naśladujcie, lecz dalej za Polskę mężnie walczyć”. Przemowa ta skruszonego przestępcy wzrusza do głębi powstańców, odzywają się głosy o przebaczenie, lecz bębny złowrogo już zawarczały, huknęła salwa strzałów, a Iskra śmiertelnie ranny pada na ziemię i wtedy jeszcze jeden strzał dodatkowy życie mu odbiera, niby z miłosierdzia, aby się nie męczył. Brat Albert miał odtąd to przysłowie „miłosierdzie jak nad Iskrą”, gdy kto podobną przysługę bliźnim oddawał.

Wśród towarzyszy walki za Ojczyznę bywały też wydarzenia wesole. Do nich zaliczał Brat Albert polowania, zwłaszcza na dziki lub inne zwierzęta. Była wtedy nie lada uciecha wśród powstańców, gdy ubitego dzika lub inną zwierzynę z sierścią przypiekano na rozżarzonych węglach, albo ptactwo z pierzem na wolnym ogniu pieczono. Ów apetyt młodzieńczy przypominał sobie Brat



„Oddział Chmieleńskiego”, mal. J. Sobecki

Albert wtedy, gdy schorowany miał wstręt choćby do najlepszych potraw.

Charakteryzując swych wodzów w powstaniu, opowiadał Brat Albert o jednym z nich, że lubił się radzić pewnej roztropnej matrony, zdaje się, właścicielki dworu. Ilekroć ów dowódca usłuchał jej rady, to zawsze walki z nieprzyjaciółmi miały dobry wynik dla powstańców, taki miała dar rady, czy przenikliwość umysłu. Kiedy raz powstańcy znowu byli w tych stronach, a Moskale na nich nacierali, i trzeba było walkę z nimi stoczyć, nasz wódz bardzo był nieszczęśliwy i w złym humorze, bo wtedy tej pani w domu nie było. „Jakże się bić, kiedy pani N.N. nie ma w domu”, mru-

czał do siebie. Kiedy Brat Albert miał jakąś sprawę załatwić, a nie miał sposobności poradzić się wpierw z kimś w tej sprawie biegłym czy wtajemniczonym, wtedy żartobliwie to samo powtarzał.

Wspominał też Brat Albert o jednym szlachetnym wodzu powstańców, którego żołnierze jednogłośnie wybrali sobie za dowódcę oddziału, po stracie poprzedniego wodza, który był nieustraszony w boju, ani drgnął na huk strzałów, lecz idąc naprzód mężnie swym przykładem, porywał żołnierzy za sobą. Tymczasem ów nowowybrany dowódca tak był wrażliwy czy nerwowy, że gdy walka się rozpoczynała, wtedy bladł i drżał na



całym ciele, mimo to nigdy się nie cofał, ale mężnie szedł naprzód wszędzie, gdzie go obowiązek powoływał. Na próżno ów szlachetny Polak prosił swych towarzyszy broni, aby go sobie na wodza nie obierali, gdyż im nie daje przykładu męstwa i nieustraszonej w boju, na co mu chórem żołnierze odpowiedzieli, że mężny duch jego, odwaga i obowiązkowość w tak słabym ciele najwięcej ich pociąga i za to go sobie jeszcze więcej cenią i kochają.

Raz doznał Brat Albert szczególnej opieki Bożej, gdy bawił w Krakowie z kilkoma towarzyszami broni, między którymi był jeden z dowódców. W oznaczonym terminie i miejscu mieli wszyscy powrócić do swych oddziałów. Zaszła jednak nieprzewidziana przeszkoda czy dziwne przeoczenie ze strony Adama, iż w umówionym czasie i miejscu się nie stawił z tamtymi powstańcami, i sam przekradł się przez granicę do swej grupy powstańców i tutaj dowiedział się, że tamci jego towarzysze po przejściu granicy zostali niespodziewanie otoczeni przez wojska rosyjskie, pozabijani lub do niewoli wzięci (o jakże w tym zdarzeniu Brat Albert widział rękę Opatrzności Boskiej).

Pewnego razu przedzierali się powstańcy przez silne rosyjskie oddziały, a Adamowi z towarzyszami polecono odwrót ich zasłaniać i wtedy o mało co, a wpadłby w zasadzkę

i byłby tragiczny koniec. Gdy bowiem wjechali na koniach w okolicę moczarową, przez którą rzeka płynęła, o korycie błotnistym, spostrzegli z przerażeniem, że Moskale otaczają ich w półkole. Przystanęli bezradni, co począć, przedzierać się z powrotem przez gęste szeregi nieprzyjaciół nie było możliwe, iść naprzód w bagna i moczary też nie można, bo groziło im zatonięcie i zapadnięcie się w błotach. W tej krytycznej chwili staje przed nimi, zdaje się, jeden z uczestników powstania, który właśnie był rodem z tych stron i na wylot znał wszystkie tajemne przejścia, któredy można było i konno przejechać przez moczary i mielizny. „Za mną gęsięgo” krzyknął na swoich towarzyszy, „iść śladami mego konia” i krętymi ścieżkami począł na koniu przejeżdżać przez bagna, a potem znanymi sobie dobrze szlakami w bród przez rzekę konno przejeżdżał. Za nim krok w krok postępowała reszta towarzyszy i tak szczęśliwie bez wypadku przedostali się na drugą stronę rzeki, i tam już bezpiecznie przypatrywać się poczęli, jak Rosjanie goniąc za nimi grzęźli z końmi w błocie i trzęsawiskach i topiąc się, o ratunek wołać poczęli. Nasi zaś powstańcy wysyłając im na pożegnanie jeden i drugi wystrzał karabinowy bezpiecznie do swego oddziału dojechali.

Gorsze następstwa były w innym zdarzeniu, w którym Adam o mało



„Powstaniec na koniu”, mal. Adam Chmielewski, *obraz zaginiony*

co życia nie postradał. Raz wysłano Adama z kilkoma towarzyszami na zwiady. Gdy konny patrol zbliżył się do lasu i zarośli, nagle padły strzały nieprzyjacielskie i kilku powstańców zważyło się z koni, a reszta zawróciła prędko, aby wrócić do obozu towarzyszy i ostrzec ich, że nieprzyjaciel w pobliżu. Nowe strzały rosyjskie były celne i został przy życiu Adam na koniu i towarzysz, któremu konia ubito. Na szczęście byli na razie bezpieczni, gdyż dalej kule nie trafiały.

Wtem, odgłos konia rozlega się za dwoma, konno i pieszo uciekającymi Polakami, patrzą, a tu za nimi pędzi koń zabitego powstańca, na którego zaraz wsiadł pieszy towarzysz i tak dalej do swoich lecieli, co sił starczy. Nagle w oddali widzą nasi jeźdźcy grupę kozaków cwałujących konno za nimi. Koń Adama przemęczony odmawia posłuszeństwa i zwalniania z biegu. Co widząc Adam każe swemu towarzyszkowi biec do obozu powstańców, ostrzec ich o niebez-



pieczeństwie, a on sam będzie sobie radził. I tak się stało. Kozacy widząc z daleka że tylko jeden Polak pozostał na placu boju, zatrzymali się w biegu, a tylko czterech najtęższych jeźdźców popędziło za Adamem, aby się z nim rozprawić. Tymczasem koń Adama uciekał jeszcze resztkami sił, a potem słabł, zwalniał z biegu, a odległość między nim, a kozakami co chwila się skracała. Widząc Adam, że dalsza ucieczka jest niemożliwa, zatrzymał się, wy dobył miecz i stanął w pogotowiu do walki z kozakami, którzy z dzikim wyciem i z wyciągniętymi długimi pikami pędzili, a przybliżywszy się do Adama, zaczęli ostrożnie go okrążać, krzycząc straszliwie, aby się poddał. Nasz rycerz nie myślał się wcale poddawać, lecz postanowił się bronić do upadłego i ostatecznie życie drogo sprzedać. Stał spokojny wśród kozaków, którzy mając na głowie ogromne czapki wywijali kopiami wrzeszcząc okropnie, a potem próbowali ranić Adama i kłuli go w kurtkę, darli mu ubranie i lekko ranić poczęli. Tymczasem nasz powstaniec mistrz w walce orężnej, bronił się mieczem przed ich uderzeniami, to na jednego kozaka wręcz nacierał, to odskakiwał przed gwałtownym pchnięciem kopii drugiego, to znowu zamierzał się na trzeciego i coraz bardziej zapalał się w tej nierównej walce. Kozacy zaś spostrzegłszy, z kim mają do czynienia,

ostrożniej sobie poczynali. W toku tej szermierki Adam ciął mocno szablą i wyrwał z rąk kopię jednemu kozakowi, który pochwycił teraz swój miecz i rzucił się na mężnego Polaka. Z kilku stron atakowany Adam zasłaniał się i bronił, lecz raz po raz pchnięcie piki, lub cięcie miecza rany mu zadawały, tak iż się krwią zalewać zaczął. Straszny ten pojedynek długo się przeciągał i Adam zapewne uległby przemocy, choć reszta kozaków przypatrując się tej walce stała w oddali w pogotowiu wojennym. Wtem z pobliskiego lasu wypada z krzykiem jazda polska, którą towarzyszył Adam zmobilizował, gdy dotarł do obozu polskiego z krzykiem, żeby ratować Adama Chmielowskiego. Kozacy widząc, jak wichur pędzących, jeźdźców polskich zaprzestali walki i do swoich umykać poczęli, inni zaś kozacy i wojsko rosyjskie spostrzegłszy że obóz powstańców ruszył do boju, cofnęli się na dawne stanowiska. Tymczasem pan Adam, chociaż krwią zalany, stał zwycięski i bohaterski, a ognie były z oczu jego. Nadbiegli towarzysze broni Adama, niezmiernie ucieszeni z ocalenia jego, otoczyli bohatera i z okrzykami czci prowadzili go w tryumfie do obozu polskiego i z podziwem o nim opowiadali że sam walczył ze sotnią kozaków i na widok takiego męstwa i zwycięstwa odwaga przeszła w szeregi powstańców.

Siostry albertynki zapraszają na spotkania rekolekcyjne podczas wakacji 2013 r.

<i>termin</i>	<i>miejsce</i>	<i>rodzaj spotkania</i>	<i>grupa wiekowa</i>
1-6 VII	Grywałd k. Krościenka	rekolekcje z posługą wśród chorych „Kocham, bo jestem”	dziewczyny 17 +
25-28 VII	Kraków	„Rio w Krakowie” z albertynkami	młodzież 15 +
20-25 VIII	Zakopane	rekolekcje rozeznania powołania	dziewczyny 17 +
2-6 IX	Kudowa-Zdrój	spotkanie na szczycie w Górach Stołowych	dziewczyny 19+

Informacje i zgłoszenia: s. Katarzyna Miela,
e-mail: spotkania@otworzserce.pl, www.otworzserce.pl

„Rio w Krakowie z albertynkami”

Zapraszamy młodzież do przeżycia razem z nami spotkania pt. „Rio w Krakowie”. Jest to czuwanie młodych, którzy chcą być razem, we wspólnocie, aby przeżywać piękne chwile w łączności z młodymi całego świata spotykającymi się z następcą Św. Piotra w Rio de Janeiro, na światowych Dniach Młodzieży. Wielu z różnych powodów (często finansowych) nie może udać się do Brazylii. Proponujemy spotkanie w Krakowie, w świętym miejscu Miłosier-





dzia Bożego, w dniach 27 i 28 lipca. W programie przewidziane jest połączenie przez telemost z Papieżem i młodzieżą czuwającą w Rio. Wszystkich, którzy dołączą do „albertyńskiej” grupy zapraszamy do naszego domu rekolekcyjnego już wieczorem 25 VII. Chcemy stworzyć bardziej zintegrowaną grupę i proponujemy specjalny program przed wydarzeniami, które będą miały miejsce w sobotę i niedzielę w Łagiewnikach. Planujemy wspólne zwiedzanie Krakowa, naukę tańców integracyjnych, projekcje filmów a przede wszystkim dzielenie się radością z obecności pośród nas Zmartwychwstałego Pana. Uczestnicy naszej grupy wykupują pakiet B (uczestnictwo w programie „Rio w Krakowie” + wyżywienie) i korzystają z noclegów w naszym domu (nie w szkołach).

Rekolekcje z posługą wśród chorych „Kocham, bo jestem”

Skąd czerpać siłę, by kochać? Czy jestem zdolna do miłości? Takie pytania będziemy zadawać sobie podczas rekolekcji z posługą wśród chorych, których tematem będzie: **„Kocham, bo jestem!”**.

Będzie o tym, jak sam fakt istnienia i doświadczania życia może być motorem napędzającym naszą miłość. Jak odkryć w sobie taką zdolność i pozwolić jej rozwijać się? Razem będziemy otwierać szeroko swoje serca przed Panem, by obudził w nich to, co zostało złożone na samym początku – w momencie, gdy byliśmy stwarzani. Z takim doświadczeniem pójdziemy do osób starszych w domu opieki, by podzielić się z nimi tym talentem – zdolnością do dawania dobra innym. Zapraszamy dziewczyny od 17. roku życia.

